Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 37 (1877) ● 11–17 września 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
37
9 770867 223607

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl a6e25f4765

WOJNA DOMOWA

Sejm po raz trzeci nie odrzucił veta prezydenta do ustawy o kryptowalutach, a prezydent po raz drugi złożył do sejmu projekt ustawy o kryptowalutach. A może odwrotnie. Jedno jest pewne – że przeciętny wyborca, który i tak nie ogrania rozumem konceptu kryptowalut, teraz już za cholery nie wie, o co chodzi, więc wyborcy koalicji rządzącej uważają, że to „afera PiS", a wyborcy opozycji – że „afera KO". Inaczej mówiąc, boisko zostało wyrównane i cała ta zadyma będzie miała zerowy wpływ na wynik wyborów. Ot, taka równość epoki postprawdy.

Donald Tusk wyraźnie nie jest gotów uznać realiów epoki i ciągle żyje nadzieją, że jego słowa są w stanie zaszkodzić jego politycznym przeciwnikom. „Elementarny instynkt powinien kazać wam zagłosować za tą ustawą" – orzekł w sejmie, dodając, że dla posłów opozycji „jest już kwestia być albo nie być" i dorzucając dość przejrzystą insynuację, że tych, co są przeciw, „trzymają za gardło bardzo źli ludzie". Po czym premier odczytał fragmenty zeznań Krala przeciwko Ziobrze. Zwolennicy premiera przekonują, że wcale nie złamał art. 241.1 kodeksu karnego („Kto bez zezwolenia rozpowszechnia publicznie wiadomości z postępowania przygotowawczego"), gdyż uczynił to na podstawie art. 12 Prawa o prokuraturze, wprowadzonego przez PiS w 2016 r., zresztą przy gromkich protestach opozycji. Artykuł ten pozwala – prokuraturze, nie premierowi – ujawnić dane ze śledztwa, jeżeli „mogą być one istotne dla bezpieczeństwa państwa lub jego prawidłowego funkcjonowania". W jaki sposób zaoceaniczny uciekinier Ziobro wpływa na bezpieczeństwo lub funkcjonowanie rządzonego przez Tuska państwa, nikt nie pyta, bo wszyscy rozumieją, że wiadomość o tym, iż nieustraszony pogromca aferzystów przytulił pół bańki – a miał przytulić dwie – za „ukręcenie łba sprawie", jest zbyt smakowita, żeby ją przemilczeć.

Są tacy, co małodusznie podejrzewają, że Donald Tusk rozpętał opisaną powyżej gównoburzę, żeby odwrócić uwagę opinii publicznej od swojego niewątpliwego, acz niezbyt twarzowego sukcesu: wybrania Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego. Bo może to i miło przeczołgać koalicjantów i pokazać im, kto tu rządzi – ale jednak inteligencja głosująca się nieco wzdrygnęła na myśl, że lider „obozu demokratycznego" robi to samo co pisowscy niszczyciele praworządności. Nas najbardziej ubawił marszałek Czarzasty, który zagłosował przeciw, ale potem szybciutko wytłumaczył, że to było niechcący: „Okazało się, że jestem człowiekiem, mam emocje, umiem kochać, umiem się pomylić. Oczywiście, że to był błąd. Cieszę się z jednej rzeczy: że mój głos nie przeważył, bo chyba bym sobie do końca życia tego nie darował". Widać gniew Donalda jest straszniejszy niż dość kompromitująca informacja, że marszałek sejmu nie potrafi opanować trzech guzików.

I jeszcze à propos Berka: wypowiedział się autorytet prawniczy mecenas Giertych. Pytany o przepis, który koalicja wprowadziła, a Duda uwalił – ten o czteroletniej karencji między zasiadaniem w rządzie czy parlamencie i w trybunale – Giertych orzekł radośnie, że „jak przepis nie obowiązuje, to nie obowiązuje wszystkich, nie tylko tych, którzy zawetowali". Zapytany, czy to nie jest hipokryzja, wybitny ów prawnik odparował błyskotliwie: „Ale proszę pana, hipokryzja byłaby wtedy, kiedy jest jakiś przepis, którego się nie stosuje". Jak pisał wieszcz: „Ponad wszystkie wasze uroki, Ty! poezjo, i ty, wymowo, Jeden – wiecznie będzie wysoki: Odpowiednie dać rzeczy – słowo!"…

W nowym roku szkolnym dzieci mają przez jeden dzień w tygodniu dostawać wegetariański obiad, oparty na warzywach strączkowych. Okazało się, że jest to problem ideologiczny najwyższej wagi. Mateusz Morawiecki nagrał rolkę pełną oburzenia: „Najpierw straszą, że dieta mięsna zabija planetę, a potem każą dzieciom jeść fasolę z kaszą. Dość tych szaleństw ideologicznych!". Posłanka Kurowska z PiS z trybuny sejmowej wyraziła zatroskanie: „Rodzice obawiają się, że dzieci będą chodzić głodne, ponieważ mają inne przyzwyczajenia żywieniowe w domu, a więc zagrożona jest egzystencja naszych dzieci". Starościna Kurowska z PiS (zbieżność nazwisk przypadkowa) od głodu przeszła wprost do wojny: „Rosja: Dzieci od 11 lat uczą się »podstaw szkolenia wojskowego«, m.in. musztry, obsługi dronów, pierwszej pomocy w warunkach bojowych. Młodzież 16–17 lat: obowiązkowe kilkudniowe obozy i intensywne szkolenia wojskowe, w tym taktyka wojenna oraz posługiwanie się bronią palną. Polska: edukacja zdrowotna, seksualna i dieta planetarna. Obudź się, Polsko". Czy to tylko nasze onuctwo, czy p. Kurowska uważa, że w Rosji jest lepiej?

Polska i USA podpisały umowę pożyczki na zakup amerykańskiego sprzętu wojskowego za 4 mld dolków. Wicepremier Kosiniak-Kamysz był uszczęśliwiony: „To dla nas ogromny zaszczyt po raz kolejny podpisać umowę partnerską ze Stanami Zjednoczonymi, bo to jest autentycznie coś niezwykłego, że nasz sojusz jest nie tylko okraszony słowami, nie tylko bogaty w deklaracje, ale tak naprawdę jest bogaty we wspólne działania"… Łubu dubu łubu dubu…

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

wrzesień 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Hermana

W „Gazecie Polskiej" nr 222 Piotr Lisiewicz dowodzi, że Korwin-Mikke i Adam Michnik to bliźniaki polityczne. Wszystko ich łączy. „A stosunek do Jerzego Urbana? Zarówno dla Michnika, jak i dla Korwina to nie Goebbels stanu wojennego, któremu nie podaje się ręki, bo jest odpowiedzialny za tuszowanie mordowania księży, ale wspólny znajomy". Informuję, że podanie mi ręki łączy także premier Goldę Meir z prezydentem Kurtem Waldheimem, byłym oficerem Hitlera, króla Hiszpanii ze wszystkimi szefami SB w latach 80., księcia M. Poniatowskiego – ministra spraw wewnętrznych Francji – i jego psa z chłopem Poniatowskim – przedwojennym ministrem rolnictwa itp. Najczęściej ściskam wszakże prawicą mojego penisa, co w każdej chwili może go połączyć z red. Lisiewiczem, jeśli łaska.

Świętej Comy

Miłująca wolność słowa „Gazeta Wyborcza" oburza się na całej pierwszej stronie wydania z 26 września, że Rosjanie urządzili w warszawskim hotelu Victoria propagandową wystawę obrazującą ukraińskie okrucieństwo na terenach walk. Jak z tego wynika, wolno pokazywać wyłącznie rosyjskie okrucieństwa. Jako były Goebbels, czyli fachowiec, dziwię się gazecie, że uważa, iż parę obrazków zniechęci Polaków do Ukrainy i każe umiłować Rosję. Podobnie jak swastyka wymalowana na murze ma zachęcić do nowej zagłady Żydów. Mentalność ta wydaje mi się podobna do poglądów radnej PiS, która kazała odseparować osła i oślicę w zoo, żeby kopulując, nie nasuwały dzieciom wyobrażenia, na czym polega seks. Otóż nawet napis na murze „Tusk, ty chuju" nie podnieca dziewczyn, kobiet ani gejów.

Świętego Damiana

Śniło mi się, że jako sprawozdawca pojechałem do sejmu, ale ja byłem współczesny, a sejm przedwojenny. Wpierw nie chciano mnie wpuścić, bo nie miałem żadnej legitymacji dziennikarskiej. Rzeczywiście nie mam. Wszedłem na słowo, ale były kolejki do obu szatni, oraz też przybite do ściany wieszaki z nazwiskami właścicieli. Powiesiłem tam palto pod jakimś płaszczem oficerskim. Skierowano mnie do sali dla dziennikarzy, gdzie przez głośnik nadawano obrady. Sprawdzałem krój ubrań kolegów i rodzaj tkanin, ustalając, że moje XXI-wieczne odzienie niczym się nie różni. Debata dotyczyła obronności. Powiedziałem na całą salę, że wiem, iż wojna wybuchnie w 1939 r. Wyśmiano mnie. Zapytałem więc, który teraz mamy rok. Nikt nie wiedział i to było w śnie zaskakujące.

Świętego Vincenta

W latach 60. na jawie odbierałem płaszcz z sejmowej szatni. Podałem numerek i cofnąłem się, gdyż przy ladzie stanął Gomułka. Nie chciałem, żeby obsłużono mnie przed I sekretarzem. Szatniarz zwrócił Gomułce numerek, mówiąc, że to nie nasz, lecz z nocnego klubu Bristol. Pokazał napis. Wiesław zdębiał. „To mój", jęknąłem. Gomułka spojrzał na mnie jak na kosmitę. Moje nazwisko znał dobrze, ale twarzy wcale.

Świętego Wencesława

Nasz kot Edward złapał w ogrodzie i napoczął wiewiórkę. Widząc to, pudel Azor pobiegł do Daniszewskiej po ratunek dla zwierza. Daniszewska zakopała zwłoki, żeby koty ich nie żarły. Azor obsikał mogiłę. Co przez to chciał powiedzieć? Oto tajemnice zwierząt.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Michała

Kiedy Kopacz tupie tymi swoimi szpilkami, widzowie TV czekają na katastrofę. Mowa ciała pani premier wyraża napięcie i maskowaną energią niepewność. Feministki zielenieją na jej widok, są zdania, że Kopacz je ośmiesza. Pozowałem do reklamy w koszulce z napisem „Środa dzień loda", ale na obrazku były lody, a nie prof. M. Środa.

Świętego Jerome

Noblistą-Polakiem był fizyk Józef Rotblat w ogóle u nas nieznany. Pracował w USA, ale zaliczamy do polskiego stada Marię Curie, która pracowała we Francji. Czyżby dlatego, że Curie była gojką, a Rotblat polskim Żydem? Naród polski powinien objąć wszystkich noblistów, którzy z Polski uciekli jako dorośli, tak jak Miłosz. No, Miłosz pisał po polsku, ale po jakiemu liczył Rotblat? Przy czym Rotblat robił bombę atomową, a Miłosz pod siebie.

Świętej Teresy

Jako lewicowiec wzorem Marksa, Lenina, Stalina, Millera leżę i śpię na lewym boku. Wobec tego Daniszewska kupiła i powiesiła obraz, na który nieuniknienie muszę patrzeć. Ma on długość 2,5 m, a przedstawia błękitne marchwie rosnące na buraczkowym tle. Każda marchew jest wielkości psa posła Rozenka, a piesek ów przerasta niedźwiedzia. Daniszewska pragnie sprawić, żebym przewrócił się na prawy bok i podziwiał jej kontrastowe piękno. Każe mi też pić prowymiotny wyciąg z jarzyn, chodzić codziennie 50 m na nogach i gimnastykować się w wodzie. Daniszewska wywodzi się z rodziny katolickiej. Gdyby katolicy uznali wreszcie, że ludzie są zwierzętami, zaczęliby kochać ludzi, tak jak kochają zwierzęta, np. konie, pies je jebał.

Świętego Legera

W „Rzeczpospolitej" z 27–28 września był artykuł pt. „Urban – mistrz brukowych dziennikarzy" napisany przez Filipa Memchesa. Cóż, lepiej być mistrzem czegokolwiek niż Memchesem, królem prawicowych nudziarzy. Okazało się, że omawiając książkę Piotra Mieśnika o tabloidach „Wyznania hieny", mylnie ulokował w redakcji „NIE" szkołę hien dziennikarskich, co autor książki sprostował. A przecież swego czasu adoptowałem hienę w warszawskim zoo i byłem potem ojcem chrzestnym wnuka-hieniątka. Ta hiena (właściwie ten hien) umarła z głodu jak wielu krewnych na moim utrzymaniu.

Świętego Gerarda

W przeddzień inauguracji roku akademickiego żal było patrzeć w TVN24 na najwybitniejszego krakowskiego uczonego prof. Hartmana, jak ukazywał spocone oblicze i minę skazańca. Tłumaczył się z tego, że omówił niemiecką dyskusję o bezsensie karania za kazirodztwo. Trybunał TVN żądał odpowiedzi, czy uczony jest za, czy przeciw, a ofiara inkwizycji migała się.

1) Gdy syn pieprzy mamusię albo siostrę, niekiedy tatusia jest to najwyższy wykwit miłości w zamkniętej na świat rodzinie, miłości inkluzyjnej tak zalecanej przez Kościół.

2) Prześladując Hartmana za podważanie procesów o kazirodztwo, Janusz Palikot okazuje niestety, że zmierza do pozbycia się z Twojego Ruchu wszystkich działaczy, sympatyków, przyjaciół. Chce przewodzić tylko samemu sobie, co też bywa nieudane.

3) Jak znam życie, prof. Hartman pocił się w TVN i stękał nie ze strachu przed Palikotem, lecz pod naciskiem krakowskiej profesury, w większości robiącej laskę biskupom, pardon: robiącej pastorał. ❑

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Trump-River bez snusa

Jesteśmy świadkami wielkich zmian. Pożegnaliśmy na zawsze Jezioro Ontario. Wkrótce pożegnamy Atlantyk i Pacyfik. Czego jeszcze możemy się spodziewać? Przykłady: nie będzie już biegunów. Będzie Trump Północny i Trump Południowy. Nagroda Nobla będzie Nagrodą Trumpa, komitet trumpowski (dawniej noblowski) zostanie przeniesiony do Waszyngtonu, dzięki czemu przywódca Wolnego Świata będzie mógł przyznawać sobie nagrody w dowolnej dziedzinie. Nasz grajdołek też trzeba ucywilizować. Na pierwszy ogień zmiana nazwy największej polskiej rzeki na Trump-River. Pięknie by brzmiało: „przejdziem Trump-River, przejdziem Wartę", „Gondolierzy znad Trump-River" itd. Pan Karol na pewno podpisze taką ustawę, nawet bez snusa.

Anna Maj

Wokulski pana prezydenta

Pragnę zwrócić uwagę na wzmożenie literackie Kancelarii Prezydenta z wykorzystaniem „Lalki" Bolesława Prusa. Na użytek pierwszej rocznicy prezydentury wykorzystano fragment o występie włoskiego aktora, którego podziwiała panna Łęcka. Aby ją zadowolić, podczas spektaklu Wokulski dawał znak klakierom, głaszcząc się po ciemieniu, a oni krzyczeli: „Karol Wielki, Karol Wielki!". A nie, oni krzyczeli „Brawo Rossi!". Ciekawe, kto przed Pałacem Prezydenckim głaskał się po czubku głowy, aby prezydent mógł się nadąć.

Magda Milusz

Młot na deweloperów

Znowu jakaś afera w Łodzi z developerem-hochsztaplerem, innego z miliardowymi długami właśnie wypuścili z aresztu… A sprawę można załatwić jednym zdaniem uzupełnienia kodeksu handlowego: „Każda przedpłata dla firmy developerskiej wymaga zabezpieczenia bankową gwarancją zwrotu przedpłaty". I koniec! Uczciwy przedsiębiorca ma pieniądze (koszt gwarancji jest niewielki, myślę, że nabywca też się zgodzi przyłożyć się do tego kosztu), klient ma pewność, że nie zostanie na lodzie. Hochsztaplerzy czy „cudowne dzieci naszej przedsiębiorczości" dwa razy się zastanowią, czy ich biznesplan jest naprawdę tak świetny.

CAR

eprasa.pl a6e25f4765

Ukraińcy, czyli Rosjanie

Moja wywrotowa koncepcja na temat wojny hybrydowej

W minionym tygodniu Polska wezwała ambasadora Rosji Gieorgija Michnę, protestując przeciw rosyjskiemu terroryzmowi państwowemu i operacjom hybrydowym. „Tradycyjnie ambasador Rosji zaprzeczył odpowiedzialności swojego kraju, mimo że władze niemieckie mają podejrzanych" – powiedział Radosław Sikorski. „Taka natura radzieckiej i rosyjskiej dyplomacji, więc tutaj zero zdziwień" – ocenił.

Jak wiemy, w ostatnim czasie doszło do aktu dywersji w zakładach WB w Skarżysku-Kamiennej, będących elementem polskiego zaplecza obronnego. W fabryce produkującej system TOPAZ do dowodzenia, system łączności FONET, amunicję krążącą WARMATE jakiś człowiek w kominiarce przeskoczył przez płot, zostawił łatwopalny ładunek, a następnie zakład zaczął się palić.

Grupa WB uspokoiła, że „wszystkie procedury i systemy zadziałały prawidłowo", a pożar został szybko ugaszony. Jeżeli chodzi o prawidłowo działające procedury, terrorystę zarejestrowała czujka antywłamaniowa, ponieważ na miejscu nie było nikogo, kto mógłby go zatrzymać. Jeżeli zaś chodzi o szybko ugaszony pożar, zdążył on wcześniej strawić majątek wart kilkanaście milionów złotych. Prokuratura Krajowa wszczęła śledztwo w kierunku działalności obcego wywiadu i terroryzmu.

Dekiel bezpieczeństwa

Jest to kolejny z serii kilkunastu podobnych incydentów. Mógłby się wydawać najistotniejszy, bo dotyczy fabryki zbrojeniowej. Wbrew pozorom nie był. Mieliśmy bowiem do czynienia ze zdarzeniem znacznie poważniejszym, o którym prokuratura, ABW i kto tam jeszcze jakoś zapomnieli poinformować. Wyręczamy.

Zacznijmy od czegoś, czego również zapewne nie wiecie: stalowe włazy do studzienek telekomunikacyjnych w centrum Warszawy ważą teraz po 800 kilogramów. Dlaczego?

Otóż mniej więcej w listopadzie ubiegłego roku przy takich studzienkach zatrzymywał się samochód monterów telekomunikacyjnych, stosownie oznakowany, z panami w kaskach. Blokowali oni ruch przy Alejach Jerozolimskich w biały dzień, otwierali studzienkę, schodzili na dół, po czym za pomocą szlifierki kątowej wycinali wszystko, co się tam znajdowało.

W podziemiach dawnego Hotelu Marriott znajduje się punkt wymiany ruchu internetowego Equinix Internet Exchange, będący jednym z najważniejszych węzłów międzykontynentalnej infrastruktury telekomunikacyjnej. Dochodzą tam trasy łączące Polskę z globalną siecią, w tym ze Stanami Zjednoczonymi. W samym kompleksie znajduje się 12 tys. par włókien światłowodowych należących do operatorów lokalnych, ogólnopolskich i międzynarodowych. Operator systemu twierdzi nawet, że „wszystkie sieci światłowodowe w Polsce prowadzą do warszawskiego Hotelu Marriott". Naprawa skutków aktów tego dobrze zorganizowanego wandalizmu kosztowała operatora 100 tys. zł za jedną studzienkę. Ataki były trzy. Prokuratura ustaliła, że światłowody przecinali Ukraińcy, ale niczego więcej poszkodowanemu nie ujawniono. Dlatego mamy dziś te 800-kilogramowe dekle, które trzeba podnosić dźwigiem. Nic mądrzejszego nie wymyślono.

Ale cofnijmy się w czasie

Styczeń–marzec 2023: wielka siatka szpiegowska. Grupa działała m.in. w Białej Podlaskiej, Chełmie, Medyce, Przemyślu, Rzeszowie i Warszawie. Jej członkowie rozpoznawali obiekty wojskowe i infrastrukturę krytyczną, obserwowali transporty broni i pomocy dla Ukrainy. Ostatecznie oskarżono 16 osób: 13 obywateli Ukrainy, dwóch obywateli Białorusi i jednego obywatela Rosji.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Tym jedynym Rosjaninem był Maksim S., hokeista grający w polskiej I lidze, związany z Zagłębiem Sosnowiec. Według śledczych został zwerbowany już podczas pobytu w Polsce i otrzymywał wynagrodzenie w kryptowalutach. Według obrońców został do szpiegostwa przyszyty przez prokuraturę. Pozostałych piętnastu Rosjanami nie było, ale cała grupa była oczywiście – według polskich służb – sterowana przez Rosję.

Rosjanin poza kadrem

W 2024 r. pojawiły się mordercze paczki. Do firm kurierskich trafiały przesyłki zawierające urządzenia zapalające i materiały łatwopalne. Jedna zapaliła się w naczepie tira w Jabłonowie, kolejna na lotnisku w Lipsku. W styczniu 2026 r. prokuratura oskarżyła w tej sprawie pięć osób: czterech obywateli Ukrainy i jednego obywatela Rosji. Wszystkim zarzucono działanie na rzecz rosyjskiego wywiadu. Proporcje osobowe zaczynają się więc robić znajome.

Potem mamy akt oskarżenia w sprawie podpaleń obiektów wielkopowierzchniowych na rzecz wywiadu Federacji Rosyjskiej. Obejmuje m.in. podpalenie OBI przy Radzymińskiej w Warszawie, IKEA w Wilnie, Marywilskiej 44. Wśród pięciu oskarżonych mamy czterech Ukraińców i jednego Białorusina. Rosjan nie ma, ale rosyjski wywiad – jak najbardziej.

Następnie Mika i Gołąb. Pod torami w Mice podłożono ładunek C4 i zdetonowano go pod pociągiem towarowym. W Gołębiu uszkodzono sieć trakcyjną i umieszczono na szynach metalowe elementy mogące doprowadzić do wykolejenia pociągu. Jako bezpośrednich wykonawców prokuratura wskazała dwóch obywateli Ukrainy, a kolejny Ukrainiec miał pomagać w przygotowaniu operacji. Oczywiście według śledczych wszyscy działali na rzecz rosyjskiego wywiadu.

Jest jeszcze Illia K., 18-letni obywatel Ukrainy. Zatrzymano go w sierpniu 2025 r. Według prokuratury od listopada 2024 r. wykonywał dziesiątki płatnych prowokacji. Ktoś kontaktował się z nim przez rosyjski komunikator, zlecał zadanie. Illia K. je wykonywał, fotografował rezultat i przesyłał zdjęcia zleceniodawcy. Malował m.in. napisy „Sława UPA" na polskich pomnikach i miejscach pamięci (jak na Ukraińca to doprawdy bardzo dziwne). Jednocześnie ABW wie już, że była to operacja rosyjskich służb specjalnych.

W ten sposób zaczyna wyłaniać się osobliwa prawidłowość: sprawcę znamy z imienia, paszportu, telefonu, monitoringu i miejsca zamieszkania. Jest Ukraińcem. Natomiast Rosjanin pojawia się dopiero tam, gdzie kończą się informacje dostępne publicznie.

Andromeda pod ukraińską banderą

Jest jednak inny też przypadek dywersji, w którym trop ukraiński nie został dopisany przez rosyjską propagandę, lecz przez niemieckich prokuratorów. 26 września 2022 r. ktoś wysadził na dnie Bałtyku gazociągi Nord Stream. Początkowo podejrzewano właściwie wszystkich, ze szczególnym uwzględnieniem Rosjan, którzy – zgodnie z popularną wówczas teorią – mieli wysadzić własny gazociąg, aby pokazać Niemcom, że potrafią nie dostarczać gazu również metodami wymagającymi materiałów wybuchowych.

Niemcy znaleźli jacht „Andromeda", którym terroryści wypłynęli na Bałtyk. Zabezpieczono DNA, odciski palców oraz ślady heksogenu i oktogenu – wojskowych materiałów wybuchowych. W sumie śledczy zidentyfikowali siedmiu podejrzanych. Podejrzani okazali się Ukraińcami.

Głównym oskarżonym został Serhii K., były oficer ukraińskiej armii. W lipcu 2026 r. niemiecki prokurator skierował akt oskarżenia. Niemcy twierdzą już nie tylko, że rurociąg wysadzili Ukraińcy, lecz że plan powstał „na zlecenie instytucji państwowych Ukrainy". Proces rozpocznie się w październiku w Hamburgu.

Jednym z podejrzanych był mieszkający w Polsce ukraiński nurek Wołodymyr Żurawlow. Niemcy wystawili za nim europejski nakaz aresztowania. Nie został jednak zatrzymany, ponieważ – według polskiej prokuratury – Niemcy nie umieścili go w odpowiedniej bazie osób poszukiwanych. Żurawlow zdążył wyjechać na Ukrainę. Niemieckie media ustaliły, że granicę miał przekroczyć samochodem ukraińskiej ambasady. Rok później Żurawlow wrócił do Polski. We wrześniu 2025 r. został zatrzymany pod Warszawą. Niemcy ponownie zażądali jego wydania.

Polityka ustala sprawcę

Premier Donald Tusk jeszcze przed rozstrzygnięciem sądu oświadczył jednak, że w interesie Polski nie leży wydanie podejrzanego Niemcom, dodając mniej więcej, że problemem nie było wysadzenie Nord Stream, lecz jego wybudowanie. 17 października 2025 r. Sąd w Warszawie odmówił wykonania niemieckiego nakazu. Wypuścił Żurawlowa z aresztu i rozpoczął uzasadnienie od słów: „Po pierwsze, jest pan wolny". Sędzia Dariusz Łubowski podkreślił, że Niemcy przysłali jedynie bardzo ogólne informacje i polski sąd nie dysponuje dowodami, aby ocenić sprawstwo Żurawlowa. Wskazał na kontekst wojenny: czym innym jest wysadzanie infrastruktury przez terrorystów w czasie pokoju, a czym innym działanie żołnierzy przeciw infrastrukturze państwa-agresora podczas wojny. Sąd zakwestionował również oczywistość niemieckiej jurysdykcji, skoro do eksplozji doszło poza terytorium Niemiec.

Zatem jeżeli obywatel Ukrainy podpala w Polsce market budowlany, polskie służby wyjaśniają, że w rzeczywistości jest to rosyjska dywersja. Jeżeli natomiast niemieccy śledczy ustalają, że obywatele Ukrainy wysadzili strategiczny gazociąg, a prokuratura twierdzi, że działali na zlecenie ukraińskich struktur państwowych – w Polsce okazuje się, że sprawa jest bardziej skomplikowana i najlepiej nikogo Niemcom nie wydawać. Można odnieść wrażenie, że w Polsce o narodowości dywersji decyduje nie tyle paszport dywersanta, ile polityczna przydatność jego czynu.

I na tym się zatrzymajmy.

W tych wszystkich „rosyjskich" prowokacjach zatrzymano, według niepełnego zestawienia „Rzeczpospolitej", 44 Ukraińców, 8 Białorusinów i 3 Rosjan. Zawsze jednak w pewnym momencie łańcuch dowodowy mający prowadzić do Kremla zaczyna się rozmywać.

Pojawia się wyjaśnienie służb: zlecenia przekazywano przez komunikatory internetowe, najczęściej rosyjski Telegram, a wynagrodzenie wypłacano w kryptowalutach.

To wyjaśnienie jest w sam raz dla umysłów dziewiczych, ale dla dziennikarza z trzydziestoletnim stażem brzmi jak kiepski żart. Obok prokuratorskich bajek mamy przecież doświadczenie i historię, która – choć mieni się nauczycielką życia – najczęściej uczy nas jedynie tego, że władza kłamie z przyzwyczajenia.

Wywiad na umowę-zlecenie

Zacznijmy od lekcji historii, której prokuratorzy najwyraźniej nie odrobili. Wyobraźmy sobie rok 1940: Berlin wpada na genialny pomysł, by masowo werbować polskich pilotów i płacić im za zestrzeliwanie Anglików na ich własnych Hurricane'ach. Absurd? Oczywiście. Nawet w III Rzeszy wiedzieli, że pojedynczy zdrajca to statystyka, ale czynienie z niego filaru strategii wojennej to czyste wariactwo.

Tymczasem polska prokuratura serwuje nam opowieść z pogranicza halucynacji. Oto Rosjanie, zamiast słać asy wywiadu, masowo przekabacają Ukraińców – ofiary własnej agresji – by za parę groszy podpalali Polskę, która dała im dach nad głową. Mamy uwierzyć w ukraińskiego blacharza, który między jedną a drugą fuchą dostaje na Telegramie zlecenie od anonima: „Podpal halę, dostaniesz dwieście dolców w krypto". I on, ryzykując dożywocie, leci z zapałkami, a potem nerwowo odświeża wirtualny portfel, licząc na uczciwość zleceniodawcy, który równie dobrze może być oficerem ABW albo znudzonym nastolatkiem z Omska.

Jeszcze zabawniejsza jest owa nagła ufność rosyjskich służb. Specjaliści od paranoi i polonowych herbat nagle obdarzają zaufaniem obywateli państwa, z którym prowadzą krwawą wojnę. Powierzają im strategiczne operacje na podstawie filmiku z płonącym koszem na śmieci. Ślad rosyjski jest tu równie wyraźny co inteligencja w przemówieniach niektórych ministrów – niby wszyscy o niej mówią, ale nikt nie widział dowodów. Ktoś w tej konstrukcji jest wyjątkowo osobliwy: albo ten mityczny Ukrainiec-samobójca, albo prokurator, który uważa, że naród kupi tę logikę godną hamburgera z tektury.

Kijów ma więcej do zyskania

To wszystko to oczywiście tylko przypuszczenia, ale istnieje argument prostszy i cięższy od utajnianych prokuratorskich akt. Wbrew zahaczającym o pomówienia tyradom pana Sikorskiego, to Ukraina ma dziś potężniejszy interes we wciągnięciu NATO do tej krwawej łaźni niż Rosja w obracaniu Europy w perzynę. Kijów walczy o życie i chętnie podpali sąsiadowi stodołę, byle tylko straż pożarna wreszcie przyjechała. Niech więc szef MSZ przestanie uprawiać „macierewiczowanie" i zacznie dostrzegać rzeczywistość taką, jaka jest – bez makijażu i bez złudzeń.

ROBERT JARUGA

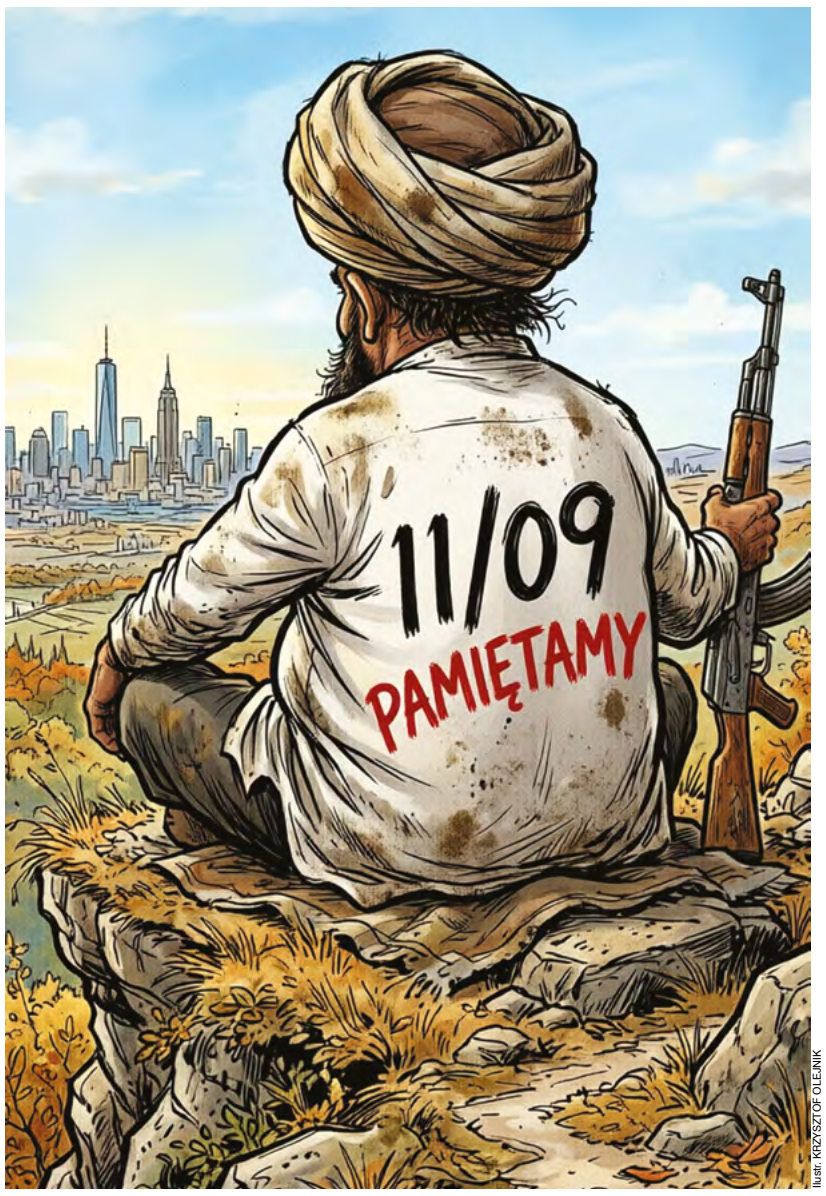

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl a6e25f4765

Wojsko groźniejsze od wojny

Mordując planetę, tracimy suwerenność

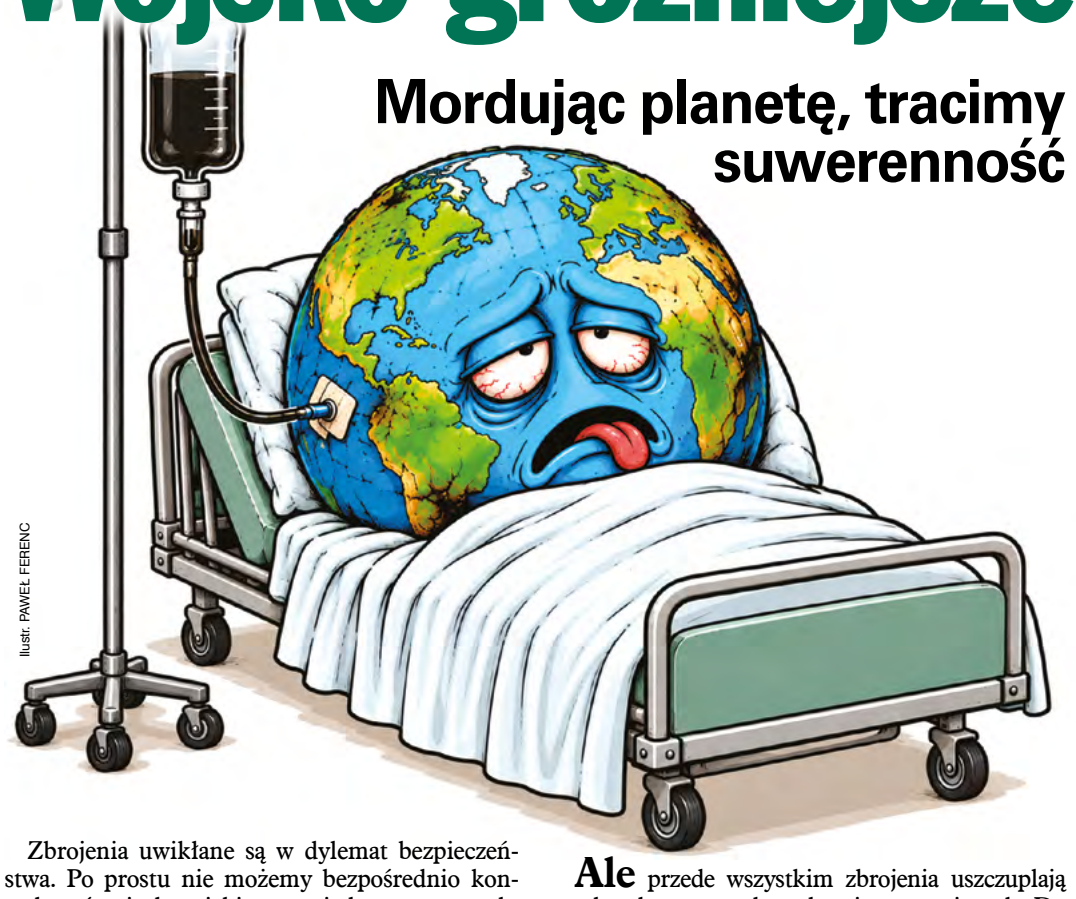

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zbrojenia uwikłane są w dylemat bezpieczeństwa. Po prostu nie możemy bezpośrednio kontrolować użytku, jaki z posiadanego arsenału może zrobić nasz sąsiad, rywal czy wróg. Jeśli nie szukamy współpracy na polu gospodarczym ani poprawnych relacji dyplomatycznych – pozostaje wydawać 20 proc. budżetu państwa na zakupy przyszłego złomu.

Jak wyglądają asy przestworzy po służbie, możemy zobaczyć w Tucson w Arizonie: szare szeregi cennych metali, minerałów, zużytej nadaremnie energii stoją pod gołym niebem jako nieme pomniki szaleństwa władzy. Wcześniej chociaż podtrzymywały koniunkturę w gospodarce, która cierpi na przewlekłą stagnację.

Ale przede wszystkim zbrojenia uszczuplają zasoby planety: węglowodory i cenne minerały. Do tego dochodzą szkodliwe emisje dwutlenku węgla, przyśpieszające kryzys planetarny. To efekt ciągłych manewrów, operacji ćwiczebnych, codziennego szkolenia szwejów na lądzie, w wodzie i w powietrzu z użyciem nowoczesnego sprzętu do zabijania.

Natomiast w czasie działań wojennych rosną na potęgę straty w ekosystemach planety: spalanie lasów i niszczenie terenów podmokłych. Potem pojawiają się emisje z odbudowy zniszczonych budynków, dróg, infrastruktury. Podczas wojny w Wietnamie z dymem poszło 2 mln ha lasów tropikalnych. A podczas pierwszych 38 dni amerykańskich nalotów na Iran – odbyło się 10,2 tys. lotów bojowych. Każdy zostawia za sobą także smugi kondensacyjne, które zatrzymują ciepło.

Ale

wojna z planetą trwa cały czas. Liczą się nie tylko szkolenia i operacje pilnowania granic przed zagubionymi w przestworzach dronami. Na globalne emisje armii składa się przede wszystkim produkcja arsenału: cielska i napędy lotniskowców, okrętów podwodnych, stad samolotów, rakiet, dronów.

Cała potęga techniki tworzy cuda współczesnego pola walki: stopy wysokogatunkowej stali i tytanu, napędy na wysokoenergetyczne paliwo lotnicze, turbiny gazowe i reaktory jądrowe, komponenty do produkcji dronów: ogniwa litowo-jonowe, bezszczotkowe silniki elektryczne, kamery nawigacyjne, dozowniki światłowodowe, magnesy ziem rzadkich do silników, grafit do anod akumulatorów, specjalistyczne włókna węglowe… Czy – jak przewidywał po ataku jądrowym na Hiroszimę Winston Churchill – ludzkość wróci do epoki kamienia łupanego na „lśniących skrzydłach nauki”?

Wszystkie cuda techniki ucieleśnione w broni sprawiają, że wojsko jest największym konsumentem paliw kopalnych. Nic dziwnego, że amerykański Pentagon zadbał o to, żeby raportowanie o emisjach zgodnie z protokołem z Kioto nie było obowiązkiem. Według szacunku Nety C. Crowford, profesor stosunków międzynarodowych Uniwersytetu St. Andrews, łączna emisja tych paliwożernych „środków bezpieczeństwa” NATO, Chin i Rosji wyniosła w 2024 r. 551 mln ton ekwiwalentu dwutlenku węgla. Dla porównania: lot samolotem z Warszawy do Nowego Jorku i z powrotem jednego pasażera powoduje emisję około 2 ton CO2e. Według innych badaczy faktyczna wielkość emisji sektora militarnego świata mogła się mieścić w roku 2019 w przedziale 1644–3484 mln ton. To stanowiło od 3,3 do 7 proc. całkowitej emisji globalnej. Do tego trzeba dodać emisje do atmosfery radionuklidów (niestabilnych jąder atomowych): trytu, strontu 90 czy plutonu 238. Skażenia promieniotwórcze wpływają destrukcyjnie na wszystkie formy życia.

Ziemski pełnomocnik Hetmanki Narodu Binarny Władek zakupił w Stanach Zjednoczonych sprzęt wojskowy za ponad 200 mld zł. Płyną i lecą do nas – by bronić przed Putinem – śmigłowce Apache za 40 mld, czołgi Abrams za 24 mld i samoloty F-35 za prawie 20 mld zł.

A ile płaci za te przesyłki planeta? Musimy uwzględnić cały łańcuch przekształcania energii i materiałów, by powstały ulubione cacka soldateski.

Pierwsze ogniwo łańcucha to prace badawczo-rozwojowe. Prowadzi je 10 placówek pod nadzorem Pentagonu i 24 uniwersyteckie ośrodki badawczo-rozwojowe. Produkcją zawiaduje sześć wielkich korporacji zbrojeniowych (spośród 9 największych na świecie). Zakupują one niezbędne komponenty w zewnętrznych firmach. Ich liczba sięga 60 tys. Zatrudniają one ponad milion pracowników.

Łącznie współdziałających firm może być nawet 100 tys. I wszystkie one muszą walczyć o zyski. Obok centrów przetwarzania informacji – to jedyna baza przemysłowa tego byłego mocarstwa przemysłowego. Ostał mu się ino sektor finansowy, farmy zbożowe, kancelarie prawnicze, Walmart i think tanki.

Sytuację ratuje jeszcze dolar jako pieniądz światowy i oligopol big techów kalifornijskich doliniarzy. Ale komponenty do ich cyfrowych technologii pochodzą z Azji, głównie z Chin. Kupując uzbrojenie i usługi Palantir Technologies dla administracji, wywiadu i wojska, polska kompradorska elita władzy traci suwerenność. Na początek cyfrową, bo uzależnia się od algorytmów, którymi zarządzają właściciele kodów i platform cyfrowych, osobnicy w rodzaju prezesa Palantira, Alexa Karpa, który studenckie protesty przeciwko ludobójstwu w Gazie nazywa „pogańską religią” i przekonuje, że „aktywiści pokojowi są aktywistami wojennymi”.

Co gorsza, rodzime marionetki biznesu podtrzymują trwanie oligopolistyczno-finansowego stadium kapitalizmu. Jego jądrem jest amerykański sektor finansowy i właściciele kapitału portfelowego. Ich symbolem jest w tej chwili Larry Fink, zarządzający 11 bln dol. funduszu inwestycyjnego BlackRock. Kiedy rośnie dług w obcych walutach, władza należy do stóp procentowych i inwestorów, a nie do wyborców. Tak powstaje kolejny uszczerbek suwerenności.

Polscy prekariusze, chorzy, nauczyciele, cała budżetówka muszą wciąż czekać na kolejny złoty wiek. Obecnie, podłączeni końcówkami podwykonawstwa do łańcuchów produkcyjnych zachodnich korporacji, z sektorem bankowym w rękach cudzoziemców, z rynkiem wewnętrznym dla produktów przyjaciół – znów wróciliśmy na swoje historyczne miejsce: peryferii Zachodu. Premier Tusk musi cieszyć się laurką od angielskich przyjaciół londyńskiego City. Kiedy zakończy się natowska wojna per procura z Rosją, pozostanie ze swoją potęgą lądową, morską i podniebną jak Jan Himilsbach z angielskim.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

Kamala poległa w Gazie

Czego nie chcieli przyznać demokraci

Klęska Kamali Harris w wyborach prezydenckich w 2024 r. nie była jedynie wynikiem czynników ekonomicznych czy błędów kampanii – jak próbowali tłumaczyć jej zwolennicy po ogłoszeniu wyników. Za tą porażką kryje się doniosła kwestia polityczna i moralna, której znaczenie długo umniejszano: Gaza.

Autopsja

Administracja Joego Bidena – wraz z jego wiceprezydentką i późniejszą kandydatką – zapłaciła za niemal bezwarunkowe poparcie dla Izraela i premiera Netanjahu w wojnie w Strefie Gazy. Podczas gdy obrazy śmierci, zniszczeń i wysiedleń docierały codziennie na ekrany milionów Amerykanów, Stany kontynuowały dostawy broni, wspierały Izrael politycznie i dyplomatycznie. Nie tylko dla społeczności arabskiej, muzułmańskiej, ale też dla wyborców postępowych, pacyfistów, młodzieży Gaza przestała być odległym problemem polityki zagranicznej – stała się prawdziwym testem wiarygodności Partii Demokratycznej i jej haseł o prawach człowieka, sprawiedliwości i prawie międzynarodowym. Pytanie było proste: jak partia głosząca prawa człowieka może wspierać rząd Netanjahu w obliczu narastającej katastrofy humanitarnej?

Dwa lata po wyborach wewnętrznopartyjny raport potwierdza, że Gaza była jednym z kluczowych czynników porażki Harris. Przeprowadzono swoistą autopsję kampanii, mającą ustalić przyczyny klęski. Nie był to raport aktywistów, ale analiza przeprowadzona przez partyjne struktury. Kierownictwo partii utajniło wyniki autopsji przed opinią publiczną – a gdy oficjalna wersja w końcu się ukazała, brakowało w niej wzmianki o Gazie i Izraelu, mimo że temat ten wywoływał ogromne podziały podczas kampanii.

Dopiero w sierpniu 2026 r. autor raportu Paul Rivera przyznał w rozmowie z Axios, że to wojna w Gazie odebrała głosy Kamali Harris, szczególnie w regionach z dużą populacją Amerykanów pochodzenia arabskiego. Jako przykład wymienił Dearborn w Michigan – jednym ze stanów, gdzie problem był najbardziej widoczny. W Dearborn i okolicach, gdzie silna jest społeczność arabska, gniew na politykę Bidena wobec Gazy był ogromny. To nie znaczyło, że poparli Trumpa – wielu po prostu zrezygnowało z głosowania. W wyborach, rozstrzyganych niewielkimi różnicami głosów w kluczowych stanach, taka zmiana zachowań wyborczych mogła przesądzić o wyniku.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Cena błędu

To oczywiście nie oznacza, że Gaza była jedynym decydującym czynnikiem. Ale polityka w sprawie Gazy odebrała demokratom dość głosów, żeby zmienić wynik w kilku kluczowych stanach.

Jednak sprawa dotyczy nie tylko liczb. Wielu amerykańskich wyborców dostrzegło w Gazie sprawdzian spójności między retoryką demokratów a ich praktyką.

Amerykańskie poparcie dla izraelskiego ludobójstwa przestało być wyłącznie problemem Bliskiego Wschodu – stało się testem wiarygodności USA i wartości, które Partia Demokratyczna rzekomo reprezentuje.

Gaza weszła do amerykańskiej polityki w nowy sposób: stała się problemem wyborczym. Wyborca, który czuje, że jego rząd wspiera niesprawiedliwą wojnę, może wyrazić swój sprzeciw przy urnie. Kiedy kandydaci idą łeb w łeb – nie trzeba, by kwestia ta była priorytetem dla większości; wystarczy, że zmieni zachowanie setek tysięcy wyborców w wahających się stanach.

Po porażce kierownictwo partii starało się przedstawić narrację unikającą tej niewygodnej prawdy. Oficjalny raport pomijał kwestię Gazy, mimo że wojna była gorącym tematem wewnętrznych debat.

Nasuwa się pytanie: dlaczego utajniono raport i pominięto Gazę w jego oficjalnej wersji, skoro sam autor przyznaje, że kwestia ta zaszkodziła kandydaturze Harris? Jeśli Gaza nie miała znaczenia – po co w ogóle o niej dyskutowano? Jeśli miała – dlaczego nie przyznano się do tego przed wyborcami?

Odpowiedź może być bolesna dla establishmentu demokratycznego: uznanie wpływu Gazy oznaczałoby przyznanie, że polityka bezwarunkowego wsparcia dla Netanjahu nie tylko była niemoralna, ale i kosztowna wyborczo.

Nie do wygumkowania

Partia mogła odważnie przyznać, że jej polityka wobec wojny zawiodła, że nie doceniła skali gniewu i musi zmienić swoje podejście. Zamiast tego wybrano przemilczenie.

Okazuje się jednak, że można usunąć słowo „Gaza” z raportu, ale nie można wymazać go z pamięci wyborców, którzy dzień po dniu śledzili wojnę. Nie da się przekonać wyborcy arabskiego, muzułmańskiego czy postępowego, że to, co widział na własne oczy, nie miało znaczenia.

Dziś Partia Demokratyczna powinna zadać sobie nie tylko pytanie, dlaczego przegrała – ale też dlaczego unikała stawienia czoła jednej z przyczyn porażki, gdy miała dowody przed oczami. Wybory w 2024 r. udowodniły, że amerykańska polityka zagraniczna może mieć wpływ na politykę wewnętrzną. Gaza nie była dla milionów Amerykanów odległym konfliktem; była kwestią moralną, polityczną i wyborczą. Wyborcy zadawali sobie pytanie, na które kampania Harris nie umiała odpowiedzieć: czy mogę głosować na partię, która każe mi bronić praw człowieka, a jednocześnie wspiera Netanjahu w wojnie w Gazie? Dla wystarczającej liczby wyborców odpowiedź brzmiała „nie”.

OMAR FARIS

Kamasze po nowemu

Idzie wojna, idzie wojna, idzie krwawa rzeź*

Kokietowanie „mięsa armatniego” trwa w najlepsze. Po „Wakacjach z wojskiem” dla tych, którzy dopiero co dostali dowód osobisty i ukończyli chociaż podstawówkę, przyszła w naturalny sposób kolej na tych trochę starszych, o większych ambicjach. W nadchodzącym roku akademickim rozpoczynający studia na wyższych uczelniach mogli dostać stypendia w wysokości 3250 zł z Ministerstwa Obrony Narodowej.

Na pokuszenie wodziły Wojskowe Centra Rekrutacji. Ci, którzy ulegli pokusie, będą brali udział w ćwiczeniach wojskowych, aby finalnie ukończyć kurs oficerski. Nie ujawniono póki co efektów polowania na trepów lepszej, bo do-

eprasa.pl a6e25f4765

Rys. MARCIN CHUDZIK

Co się stało z pacyfizmem Razem?

Ostatni sprawiedliwi idą w bój

Odwaga dreptania w szyku

Mariusz Błaszczak został zapytany, czy polscy żołnierze powinni ruszyć na pomoc Litwie, Łotwie albo Estonii, gdyby zaatakowała je Rosja. Odpowiedział, że powinni bronić Polski. Potem zaczął się wycofywać, tłumaczyć i plątać we własnym mundurze. Chciał zabrzmieć jak człowiek od twardej, męskiej realpolitik: najpierw własne państwo, potem reszta. Zapomniał jednak, że można potwierdzić zobowiązania wobec sojuszników, nie obiecując bezwarunkowego wysłania wojska na każdą wojnę. Polskich ministrów obrony nie wybiera się zresztą ze względu na zdolności dyplomatyczne. Są to ludzie od kupowania żelastwa i obsługi wojskowego systemu emerytalnego.

Maciej Konieczny wraz ze stadem razemitów natychmiast wystąpił w roli ostatniego sprawiedliwego. Rosja testuje naszą solidarność, wypowiedź Błaszczaka jest skandaliczna, a podważanie artykułu piątego zwiększa prawdopodobieństwo wojny. Jeszcze chwila i poseł stanąłby przed kamerami w hełmie, z mapą przesmyku suwalskiego pod pachą.

W sprawie wiarygodności sojuszu Konieczny ma rację. Trudno liczyć na pomoc państw, którym zawczasu zapowiada się, że zostaną same. Nie wynika z tego jednak, że lewicowa polityka zagraniczna powinna polegać na powtarzaniu komunikatów rzecznika NATO.

Obrona sojuszniczych zobowiązań sama w sobie nie jest jeszcze marszem na wojnę. Niepokoi dopiero łatwość, z jaką zastępuje całe myślenie o bezpieczeństwie.

Kiedyś Zandberg protestował przeciwko amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce. Obawiał się, że instalacja obiecująca bezpieczeństwo uczyni nas celem. Można kwestionować tamtą ocenę, można też zmienić poglądy po rosyjskiej napaści na Ukrainę. Nie trzeba jednak przy okazji wyrzekać się samodzielności. Dzisiejsi zandbergiści drepczą za głównym nurtem z minami ludzi przekonanych, że właśnie wykazują się odwagą. Tymczasem odwaga zaczyna się tam, gdzie kończą się oklaski własnego towarzystwa.

Zandberg zaczynał w Unii Pracy, a doszedł do Unii Pajacy. Nie jest w niej osamotniony: to szerokie mieszczańskie porozumienie ludzi, którzy różnią się stosunkiem do podatków i aborcji, lecz na dźwięk wojskowej trąbki zgodnie prostują plecy.

Razem dołącza do tego towarzystwa nieco zawstydzone, ale posłuszne. Najwyraźniej bardziej obawia się zarzutu nieodpowiedzialności niż tego, że przestanie być komukolwiek potrzebne.

Jeden ucieka, drugi zostaje

Tymczasem lewica powinna pytać nie tylko, ile kupiono czołgów, lecz także, kto w razie wojny zostanie sam. Przygotowania obronne mają klasowy wymiar, choć w telewizji najczęściej pokazuje się je jako paradę sprzętu. Zamożni mogą wyjechać, przenieść pieniądze, wynająć mieszkanie za granicą i zabrać rodzinę w bezpieczne miejsce. Biedni zostaną tam, gdzie państwo zwykle zostawia ich także w czasie pokoju: w przepełnionych mieszkaniach, bez dostępu do lekarza, z osobą starszą albo niepełnosprawną na utrzymaniu.

A obrona cywilna leży. Nie ma sprawnego systemu schronów, ewakuacji ani pomocy dla ludzi, którzy nie mogą po prostu wsiąść do samochodu i odjechać. Nie wiadomo, kto ma zabrać z domu osobę leżącą, gdzie trafią dzieci, chorzy i seniorzy ani jak państwo zamierza dotrzeć do tych, którzy już dziś wypadają poza jego podstawowe usługi. Można kupować kolejne wyrzutnie i wygłaszać deklaracje o solidarności sojuszniczej, ale bezpieczeństwo zaczyna się również od odpowiedzi na znacznie mniej efektowne pytanie: kto zniesie czyjąś matkę z czwartego piętra i dokąd ją zawiezie.

Odpowiedź na takie pytania wymaga jednak więcej zachodu niż oburzenie się na Błaszczaka. Konieczny woli osłaniać artykuł piąty własną piersią, jakby traktat był bezbronnym dzieckiem, któremu były minister próbuje odebrać tornister. Wzruszająca scena, tylko trudno z niej wyczytać, co właściwie odróżnia lewicę od pozostałych uczestników tej awantury.

Czyści, zniesmaczeni

Są też tacy, którzy wierzą, że Zandberg mógłby zostać koalicjantem Tuska i pilnować jego ideowej czystości, choćby w sprawie odpolitycznionego Trybunału Konstytucyjnego. Już widzę ten podział obowiązków: premier urządza państwo po swojemu, a koalicjant wygłasza surowe pouczenia. Zandberg stoi z poziomicą i sprawdza, czy Trybunał upolityczniono dokładnie pod kątem prostym. Potem poprze rząd, żeby nie przyszli gorsi, zastrzegając, że osobiście jest zniesmaczony. Liberałowie będą rządzić, lewica zachowa czyste sumienie. Wyborcom pozostanie oświadczenie.

Tyle że ludzie niezadowoleni z tego porządku nie znikną. Strach przed wojną, poborem i rachunkiem za zbrojenia nie ustępuje pod wpływem pouczeń o odpowiedzialności. Jeśli lewica nie potrafi o nim rozmawiać, oddaje pole prawicy, która chętnie pomiesza uzasadnione obawy z kłamstwem i sprzeda całość jako bunt przeciw elitom. Razem będzie się później dziwić, że głosy protestu zgarnia ktoś inny.

Na razie ważniejsze wydaje się zaproszenie do stołu. Ostatni sprawiedliwi bardzo chcą dowieść, że można im powierzyć państwo. Tusk być może kiedyś doceni tę gotowość i znajdzie dla Zandberga posadę ministra do spraw czystości ideowej. Bez wpływu na rząd, za to z prawem do wyrażania ubolewania.

DAMIAN DUSZCZENKO

Ukrainiec wywrotowy

Alternatywa dla kijowskiej propagandy

Ołeksij Arestowycz to bloger, aktor, terapeuta i podpułkownik ukraińskiego wywiadu, który na początku wojny prowadził w imieniu Kancelarii Prezydenta Zełenskiego codzienne konferencje prasowe na temat sytuacji na froncie – do czasu, kiedy skłócił się z władzą, spieprzył z Ukrainy i ogłosił, że „będzie politykiem opozycji na emigracji". Jest też analitykiem, którego prognozy sprawdzają się z niepokojącą trafnością – przewidział m.in. zajęcie Krymu i pełnoskalową wojnę od 2022 r. Słowem – to facet, który powinien być częściej słuchany w Polsce.

Ale z pewnością nie będzie, bo poza Krzysztofem Podgórskim ze strajk.eu, jesteśmy skazani na masę różnych Michałów Fiszerów z polityka.pl, czy Marcinów Wyrwałów z Onetu. Przekonanych o swoim analitycznym geniuszu, choć produkujących z szybkością karabinu maszynowego wyjątkowe publicystyczne brednie, niewsparte ani mocnymi źródłami, ani prawdziwą wojskową wiedzą o tym, jak w tej chwili naprawdę wygląda ta krwawa bratobójcza wojna.

Arestowycz bije takich jak oni na łeb i ostatnio jak katarynka powtarza jedno i to samo. Nie przestając być przy tym ukraińskim patriotą, spierającym się z rosyjskimi komentatorami – w tym i samym największym rusocentrycznym Aleksandrem Duginem – o kształt przyszłej Ukrainy. „Wolnej" nie tylko w wymiarze zewnętrznym, ale – co podkreślił raz jeszcze wyraźnie przy okazji niedawnej celebracji 35. rocznicy istnienia państwa ukraińskiego – „Ukrainy z wolnymi ludźmi". To bezpośrednie nawiązanie do tego, co wyprawiają umundurowani łowcy skór na ulicach ukraińskich miast, miasteczek i wsi, prześladowań wolnych mediów i wybitej prawie do nogi politycznej opozycji.

Jako wojskowy z krwi i kości, z wojennym doświadczeniem – w tym i takim, które wiąże się z rozlewem krwi, do czego niechętnie się przyznał w dwugodzinnym wywiadzie z Ksenią Sobczak, opozycyjną rosyjską dziennikarką, córką dawnego mera Petersburga – powtarza, że kilka czynników przesądzi o tym, co stanie się w najbliższym czasie na froncie.

Jednym z najważniejszych jest to, czy Rosja zdecyduje się na jesieni na wielką powszechną mobilizację. „To właśnie od odpowiedzi na to pytanie zależy dziś dalsza logika wojny i ocena jakości decyzji kadrowych. Jeśli Rosja będzie nadal walczyć głównie żołnierzami kontraktowymi, front najprawdopodobniej zachowa swój obecny charakter: powolne posuwanie się naprzód, wzajemne wyczerpywanie się stron, wzrost roli dalekosiężnych uderzeń i dronów" – napisał na swoim Telegramie i przestrzegł: „Ale jeśli Kreml podejmie decyzję o nowej, szerokiej mobilizacji, wojna przejdzie na inny poziom jakościowy. Część z liczby zmobilizowanych zrekompensuje straty, część stanie się rezerwą strategiczną".

Według niego na Ukrainie będą musiały w związku z tym zostać podjęte również decyzje dotyczące mobilizacji, aby armia zachowała zdolność dowodzenia i mogła powstrzymać ofensywę przeciwnika. Przy czym – uparcie twierdzi Arestowycz – żadne tam drony ani cyfrowe technologie nie są w stanie zastąpić zwyczajnej piechoty. Bo to wciąż ludzie zajmują i utrzymują terytoria. Armia to nie zbiór start-upów ani struktura komercyjna. A taki – rodem z gier komputerowych i zarządzania korporacjami – sposób patrzenia na wojsko to błąd, którego ceną jest zawsze morze krwi własnych żołnierzy.

Ale problem według niego jest jeszcze głębszy, bo strukturalny. Otóż główną słabością Sił Zbrojnych Ukrainy ma być brak jedności dowodzenia. W normalnej armii wykazującej wysoką skuteczność – twierdzi Arestowycz – każdy żołnierz ma w każdym momencie jednego dowódcę i jednolitą pionową strukturę nad sobą. Dziś jednak na ukraińską armię wpływają różne ośrodki władzy: Bankowa (Kancelaria Prezydenta) z Zełenskim, ministerstwo obrony, sztab generalny, grupy lobbystyczne, aktywiści, kampanie medialne i gracze polityczni.

Każdy z nich rości sobie prawo do decydowania, jaka powinna być armia. Kiedy więc w zarządzaniu siłami obrony brakuje wyraźnego podziału kompetencji między urzędnikami a wojskowymi, gdy naruszona jest zasada jedności dowodzenia, zarządzanie się rozmywa, a wraz z nim skuteczność. Premierze Kosiniak, prezydencie Nawrocki – coś wam to trochę przypomina?

Tak czy inaczej, Arestowycz jest raczej pesymistyczny, jeśli chodzi o rychłe zakończenia tej wojny. „Najprawdopodobniej wojna zakończy się wzajemnym wyczerpaniem stron" – wieszczy i dodaje: „Po tym wszystkim Rosji i Ukrainie zostaną narzucone nowe zasady funkcjonowania, niezależnie od chęci i publicznych deklaracji ich przywódców". Ma tu na myśli oczywiście kolektywny Zachód.

Uważa przy tym, iż przysłowiowy „czarny łabędź" – a więc jakiś niewyobrażony dziś czynnik sprawczy – może nagle zmienić losy tej wojny i przyszłość samej Ukrainy. Jaskółką może tu być kolejny skandal korupcyjny w otoczeniu Zełenskiego, dotyczący niejakiej Mudrej, niedawnej zastępczyni Kiryła Budanowa, szefa biura prezydenta, a wcześniej wiceszefowej ministerstwa sprawiedliwości Ukrainy.

Problem w tym, że

za niezależną policją antykorupcyjną – NABU – stoi FBI, czyli Jankesi. Oni jeszcze nie zdecydowali, czy były komik wypełnił już swoją rolę i czas na kolejne rozdanie – a więc upublicznienie kolejnych taśm z podsłuchów, na których znajdzie się w końcu głos tajemniczego „Wowy".

Przy tym Amerykanie muszą liczyć się z Angolami i ich służbami, które stawiają na generała Walerego Załużnego, obecnego ambasadora Ukrainy w Wielkiej Brytanii, a w przeszłości głównodowodzącego ukraińską armią. A do tego i sam ppłk Ołeksij Arestowycz też nie ukrywa ambicji. W przywołanym wywiadzie z Sobczak widziałby siebie również w roli prezydenta.

JMP

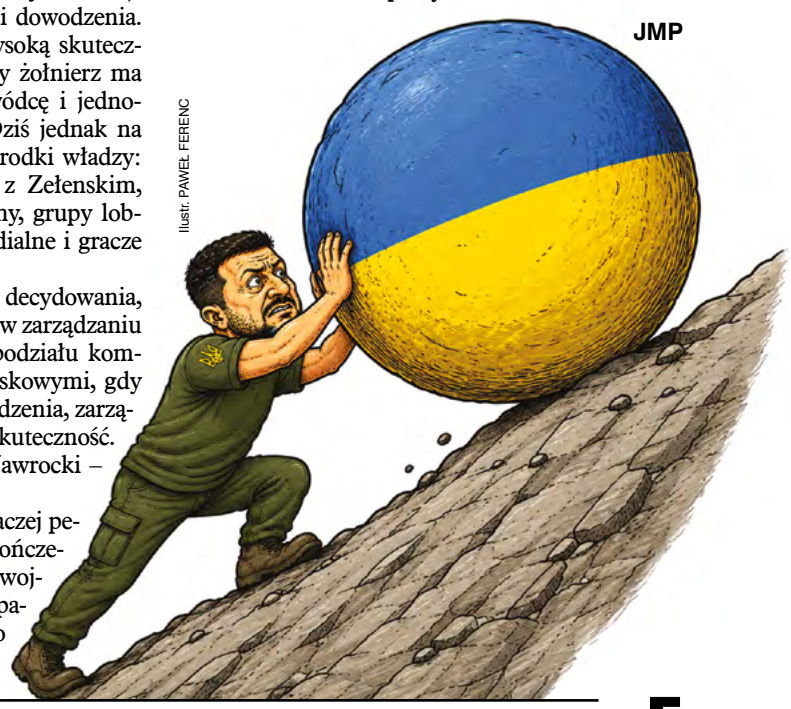
Ilustr. PAWEŁ FERENC

wódczej kategorii – ale w takim np. Białymstoku czekało na nich 100 stypendiów. Armia przy tym nie szukała polonistów i historyków, ale biologów i geodetów oraz studentów wielu kierunków politechnicznych, w tym specjalistów od robotyki, nawigacji i mechaniki.

Wektor tej rekrutacyjnej sraczki jest widoczny aż do bólu.

Mamy w tej chwili ponad 220 tys. żołnierzy w służbie czynnej, ale naszym podżegaczom wojennym marzy się półmilionowa armia złożona nie tylko z ludzi paradujących na co dzień w mundurach, ale również wielkiej grupy „rezerwistów wysokiej gotowości".

To ich armia kusi, fundując w czasie pokoju stypendia niewiele mniejsze niż płaca minimalna netto oraz umilając wakacje nauką tego, jak przeżyć w okopie pod ciągłym obstrzałem artylerii i nie zesrać się ze strachu.

Co ciekawe, mimo tych rekrutacyjnych zabiegów i coraz większych zakupów zabawek do zabijania, Polacy w większości nie wierzą w profesjonalizm naszych generałów i szwejów, gdyby doszło do wojny. Aż bowiem 63,2 proc. badanych w sondażu United Surveys by IBRIS dla Wirtualnej Polski, opublikowanym tydzień po – jak co roku – bombastycznych obchodach Święta Wojska Polskiego, ma w tej kwestii taki pesymistyczny pogląd. Wiary w nasze trepowisko nie straciło tylko 25,9 proc. ankietowanych.

• • •

Napisaliśmy jakiś czas temu o tym, że Wojsko Polskie, gotowiąc się do wojny, rozpoczęło wstępne szkolenia szczególnie predestynowanych szwejów do walki dywersyjnej. Chłopcy i – w niewielkiej liczbie – dziewczynki uczą się na nich, jak skutecznie skręcić przeciwnikowi kark i poderżnąć gardło. Jak się ostatnio dowiedzieliśmy, za końcowy efekt tych kursów ma odpowiadać starszy wykładowca w Zakładzie Teorii i Praktyki Strzelań Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu, ppłk Włodzimierz Kopeć. To żołnierski emeryt z doświadczeniem w legendarnej Formozie, jednostce specjalnej płetwonurków bojowych. Obecnie też radca-koordynator ds. szkolenia w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych WP.

Gminie wiejskiej Narewka (woj. podlaskie) współczujemy tego wyróżnienia. Jeśli my wiemy, gdzie mogą odbywać się treningi i że w niedalekich Nowosadach jest bardzo dobra strzelnica, wiedzą o tym na pewno służby Baćki i Putina.

JMP

* Song z lat 80. ubiegłego wieku w wykonaniu punkowej Siekiery

eprasa.pl a6e25f4765

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nawrocki Airlines Business Class

Kto chce lecieć z prezydentem do ONZ, palec pod budkę

Kancelaria Prezydenta ogłosiła start programu Prezydencki Pokład Biznesu, skierowanego do przedsiębiorstw planujących rozwój działalności na rynkach międzynarodowych. Inicjatywa ma umożliwić polskim firmom udział w wybranych zagranicznych wizytach głowy państwa. Próba zrównania polskich standardów z zachodnimi znów zacznie się od dupy strony.

Narodowa akwizycja

„Chcę, żeby polskie firmy, również te małe i średnie, mogły u boku prezydenta nawiązywać nowe kontakty, rozwijać już istniejące relacje biznesowe i z sukcesem podbijać zagraniczne rynki" – zareklamował pomysł w mediach społecznościowych Karol Nawrocki.

„Nie jest to żaden polski eksperyment. Państwa, które poważnie traktują swoją gospodarkę, od lat łączą politykę zagraniczną z promocją własnych przedsiębiorstw" – rozochocił się prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego Krzysztof Przybył. I dodał pouczająco: „Podobnie dzieje się za granicą. Kiedy kanclerz Friedrich Merz jechał w lutym bieżącego roku do Chin, towarzyszyła mu 30-osobowa delegacja biznesowa – od wielkich koncernów po małe i średnie przedsiębiorstwa. We Francji gospodarczy komponent wizyt Emmanuela Macrona również jest czymś naturalnym. Podczas jego wizyty w Indiach Business France i Mission French Tech zorganizowały udział ponad stu francuskich przedsiębiorstw. Polska nie ma żadnego powodu, żeby w tej konkurencji grać z jedną ręką zawiązaną za plecami"…

Wszystko to prawda. Są jednak subtelne różnice, przez które z prezydenckich lotów zamiast kontraktów będzie wysypywać się słoma.

Faktycznie, państwa o silnych gospodarkach regularnie organizują misje gospodarcze u boku szefa rządu lub głowy państwa. Celem jest wykorzystanie rangi oficjalnej wizyty państwowej do otwarcia drzwi dla krajowego biznesu na kluczowych lub trudnych rynkach zagranicznych. Premierzy i prezydenci działają tam trochę jak akwizytorzy krajowych marek.

Procedury te różnią się w zależności od kraju i możliwości flotowych. Gdy amerykańska administracja prezydencka prowadzi strategiczne negocjacje handlowe, zabiera ze sobą śmietankę biznesową. Podczas majowej wizyty Donalda Trumpa w Pekinie w oficjalnej delegacji znalazło się 17 amerykańskich prezesów firm. Ze względów na zamordystyczne procedury bezpieczeństwa i ograniczoną przestrzeń słynnego Air Force One większość dyrektorów leciała samolotami prywatnymi lub komercyjnymi. Na pokładzie maszyny Trumpa zainstalowano jednak m.in. Elona Muska od Tesli i SpaceX oraz Jensena Huanga z Nvidii.

Obecność Huanga wywołała szczególne poruszenie, bo Nvidia mierzyła się wówczas z surowymi restrykcjami handlowymi dotyczącymi eksportu zaawansowanych procesorów sztucznej inteligencji do Chin. Misja okazała się sukcesem.

W Norwegii, Finlandii czy Nowej Zelandii, gdzie liderzy polityczni ze względów wizerunkowych podróżują regularnymi liniami rejsowymi (niewiarygodne, prawda?), biznesmeni lecą tym samym lotem rejsowym co premier lub czarterują wspólny samolot.

W czasach kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego czy Lecha Kaczyńskiego przedsiębiorcy latali z prezydentami na rynki wschodnie, do Azji czy Ameryki Południowej. W skład delegacji wchodziły wyłącznie największe spółki – KGHM, zbrojeniówka czy branża budowlana. Za czasów Bronisława Komorowskiego podróże z biznesem były przez długi czas ograniczone ze względu na niedobór maszyn rządowych dalekiego zasięgu. Szereg problemów logistycznych był wynikiem spotkania TU-154 ze smoleńską brzozą. Biznes latał lotami komercyjnymi i spotykał się z prezydentem dopiero na miejscu, na forach gospodarczych. W trakcie kadencji Andrzeja Dudy dzięki zakupowi nowoczesnych samolotów nastąpił powrót wspólnych lotów. Na pokłady prezydenckich maszyn zapraszano głównie laureatów Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP oraz start-upy technologiczne.

Pomysł Nawrockiego nie jest więc rewolucyjny, choć pod względem organizacyjnym zdecydowanie nowatorski.

Państwo z trytytek

Ładowanie biznesowych krawaciarzy na pokład rządowego samolotu ma sens, gdy jest to starannie wyselekcjonowana, branżowo dopasowana grupa firm o realnym potencjale, wkomponowana w profesjonalną misję gospodarczą.

W Niemczech wybór przedsiębiorców, którzy dostąpią zaszczytu podróżowania tzw. Kanzlerjet, to ściśle scentralizowany proces polityczno-gospodarczy. Ostateczny skład delegacji biznesowej jest kompromisem pomiędzy kilkoma podmiotami. Kryteria doboru towarzystwa zależą bezpośrednio od priorytetów politycznych samego kanclerza oraz celów danej wizyty państwowej. Merytorycznym przygotowaniem gospodarczego tła podróży zajmuje się Ministerstwo Gospodarki i Energii. Urzędnicy resortu analizują, które sektory przemysłu potrzebują w danym momencie wsparcia dyplomatycznego w relacjach z krajem partnerskim. Rolę doradczą odgrywają potężne niemieckie stowarzyszenia biznesowe, jak np. Związek Przemysłu Niemieckiego, Zrzeszenie Niemieckich Izb Przemysłowo-Handlowych oraz wyspecjalizowane komitety regionalne. Organizacje rekomendują rządowi konkretne przedsiębiorstwa, dbając o balans między globalnymi molochami a kluczowymi dla gospodarki mniejszymi firmami rodzinnymi. Końcową listę pasażerów zatwierdza Urząd Kanclerski.

Misje handlowe są przygotowywane miesiącami z konkretnym programem B2B, sektorem docelowym i wsparciem dyplomacji ekonomicznej.

Proponowany przez Nawrockiego format proponuje zgoła inne rozwiązania. Do uczestnictwa w podróżach prezydent zaprosił polskie firmy „dysponujące potencjałem do ekspansji zagranicznej, w szczególności przedsiębiorców rozwijających eksport, planujących wejście na nowe rynki lub poszukujących nowych partnerów i możliwości współpracy". Inauguracyjny wyjazd został zaplanowany na 18–24 września. Karol Nawrocki uda się wówczas do Nowego Jorku, gdzie weźmie udział w dorocznej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. W trakcie trwania zagranicznej wycieczki odbędzie się Polish-American Economic Summit – jednodniowe spotkanie poświęcone polsko-amerykańskiej współpracy gospodarczej. Wydarzenie jest związane z uczestnictwem Polski w pracach grupy G20.

Informacje o naborze na wycieczkę ogłoszono 3 września, a jego zamknięcie ustalono na 13 września. To czas krótszy niż promocja na sery w sieciach marketów. Teraz najlepsze: zainteresowani przedsiębiorcy mogą się zgłaszać za pomocą formularza umieszczonego na stronie Kancelarii.

Nie ogłoszono publicznie komisji ani listy konkretnych osób odpowiedzialnych za ocenę wniosków. Wybór leży więc w gestii prezydenta. Szczegółowy program zostanie przekazany tylko zakwalifikowanym uczestnikom. Krótko mówiąc, Polska zamiast tygodni negocjacji postawiła na internetowy formularz z nieco ponad tygodniowym terminem dla przyklepania sprawy. Złośliwi już przebąkują o salonce dla lobbystów najwyższych lotów. Trudno nie przyznać im racji, a to dopiero początek prezydenckiej fuszerki.

Jak nas widzą

Program startuje w samym środku plucia jadem między pałacem prezydenckim a rządem Donalda Tuska. Jak nietrudno się domyślić, dyplomacja gospodarcza działa najlepiej wtedy, gdy głowa państwa i ministerstwa mówią jednym głosem. Tymczasem w kraju nad Wisłą zagraniczni partnerzy zderzą się z dwoma niezależnymi ośrodkami: rządowym, prowadzonym przez Polską Agencję Inwestycji i Handlu, oraz MSZ i równoległą hucpą prezydenta, który olał instytucje odpowiedzialne za realne narzędzia wsparcia eksportu. Dualizm i pranie krajowych brudów na salonach mogą zostać odebrane przez zagraniczne elity jako przejaw słabości i braku powagi państwa.

Dodatkowo zabieranie tam przedsiębiorców średniego szczebla z łapanki obniża rangę misji i miesza funkcje państwowe z prywatnym interesem. Z perspektywy zagranicznych partnerów obecność w delegacji firm bez wyrobionej pozycji, które dopiero szukają szans, może być niezrozumiała. Mogą uznać, że Polska traktuje oficjalną wizytę państwową jako narzędzie krajowej polityki piarowej, a samolot rządowy jak fundusz socjalny dla wybranych przedsiębiorców. Na marginesie, okazjonalny lot z głową państwa na sesję ONZ, gdzie program gospodarczy ma być de facto dodatkiem, ma pewną wartość medialną, ale żadnej merytorycznej. Dla tego rodzaju firm bardziej intratne są konkretne kontrakty i wsparcie eksperckie niż selfie na pokładzie prezydenckiej maszyny.

Wicemarszałek sejmu Krzysztof Bosak ocenił, że prezydencka inicjatywa może u swoich podstaw stać się początkiem szerszej zmiany systemowej we wspieraniu eksportu. Srali muchy. Brak rzetelnej polityki sektorowej wypracowanej chociażby z izbami gospodarczymi sprawia, że pomysł Nawrockiego staje się słomianą akcją wizerunkową, a nie instrumentem poważnej polityki gospodarczej. W taki sposób nie dogonimy standardów zachodnich nawet lotami VIP.

IDALIA DUBICKA

Mają nas w pompie

Uboczne skutki Berka

SŁOWO CZERWONE

PiS-owcy twierdzą, że wsadzenie Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego to przejęcie Trybunału przez rząd. Berek nie jest dobrym kandydatem na to stanowisko, bo trudno o kogoś bardziej upolitycznionego. Członek rządu, prawa ręka Tuska i wreszcie człowiek, który stał za niepublikowaniem orzeczeń trybunału. Są też wątpliwości co do jego kwalifikacji jako prawnika, bo wprawdzie był wpisany na listę radców prawnych, ale w żaden sposób nie potwierdzono, że wykonywał zawód radcy przez co najmniej 10 lat.

Gdyby uzupełnienie składu TK przez Berka mogło oznaczać odblokowanie publikowania orzeczeń trybunału, na które czekają miliony obywateli, można by tę żabę zjeść. Ale wszystko wskazuje na to, że nic takiego się nie wydarzy i pół miliona emerytów nie ma wielkich szans dożyć publikacji orzeczenia, które przyznaje im wielkie pieniądze, do 100 tys. zł. Sam premier jest zdecydowany na ruch, który – jak sam twierdzi – nie będzie zbyt estetyczny, czyli będzie wykonany przy użyciu siły.

I w dodatku nawet jak wepchną Berka, to nie na długo, bo po następnych wyborach układ sił może się zmienić, także w trybunale. Wiele orzeczeń, które czeka na publikację, jest bezdyskusyjnych, ale wydanych – twierdzi władza – z wadą prawną w postaci źle powołanych sędziów. Nowa władza – jeśli wygra prawica – nie będzie publikować orzeczeń TK z powodu obecności Berka i sędziów, których zatwierdził marszałek sejmu, a nie prezydent, który odmówił. Ten paraliż można by przełamać zmianami w konstytucji. Ale to się nie uda, bo żadna ze stron sceny politycznej nie ma tak wyraźnej przewagi, aby móc zmienić konstytucję.

Przy czym rząd nie uważa większości kilkudziesięciu wyroków TK za niesłuszne. Czego dowodem jest zastępowanie tych wyroków podobnie brzmiącymi ustawami. W rezultacie Polska nie ma działającego mechanizmu pozwalającego stwierdzać zgodność ustaw z konstytucją. I przy obecnym klinczu takiego mechanizmu po wyborach z 2027 r. mieć nie będzie.

Czy to jest ważne? Zaczął rząd PiS, który nie opublikował trzech wyroków dotyczących funkcjonowania samego trybunału. Teraz do obiegu prawnego poprzez brak publikacji nie dopuszczono kilkudziesięciu wyroków. Jeden z nich dotyczy nadzoru nad eksmisjami.

Jeden z sądów zapytał trybunał, czy sprawując nadzór nad eksmisjami, sądy powinny przy ocenie lokali przyznawanych osobom z niepełnosprawnościami uwzględniać rodzaj niepełnosprawności. Np. dopuszczać przyznawanie lokali na czwartym piętrze bez windy osobom na wózku.

Trybunał uznał, że te lokale powinny uwzględniać rodzaj niepełnosprawności i nie dopuszczać, by osoby z astmą były kierowane do lokali zagrzybionych. Niestety, tego wyroku również nie opublikowano – więc jest wyrokiem nieistniejącym.

A my dość często mamy do czynienia z kierowaniem osób niepełnosprawnych do lokali, które nie uwzględniają potrzeb osób z deficytami zdrowotnymi. Na wojnie na górze tracą ci na dole – a mimo to obie strony sporu są tak zacietrzewione, że nie podejmują żadnych prób dogadania się dla dobra obywateli. To, co się zaczęło od sporu o konstrukcje prawne, kończy się paraliżem systemu, godzącym w miliony ludzi, którzy z tego powodu cierpią.

Partie nie przejmują się konsekwencjami takiego godzenia w dobro obywateli dla ich szans wyborczych, bo spór ma charakter plemienny. Nie ma więc takiego skandalu i takich afer, które by wpływały na poziom poparcia „naszej" partii. Bo przecież wprawdzie afery i absurdalnie wysokie zarobki lekarzy w Szpitalu Południowym – i wielu innych – powinny obniżyć poparcie Platformy, ale nie obniżają, bo chodzi tylko o to, żeby uderzać we wroga, czyli PiS. Ten sam mechanizm zresztą działa w obie strony. Nie ma tak złej rzeczy, której byśmy „swoim" nie wybaczyli, bo to „nasi".

Obóz rządzący stroi się w piórka „demokratów" w odróżnieniu od niedemokratów z prawicy. Coraz częściej minister Żurek i premier Tusk wyrażają ubolewanie, że w imię demokracji muszą sięgać po metody

eprasa.pl a6e25f4765

GADMAN

Układanie niemożliwego

Możemy mieć ciąg rządów mniejszościowych

Najstarsi czytelnicy „NIE” pamiętają song „Układanka” napisany przez Wojciecha Młynarskiego. W pamiętnym roku 1981. Metaforyczny.

O polskiej rodzinie, która chciała z dostępnych jej puzzli ułożyć obrazek. Obiecywany przez lata socjalistyczny raj.

Dziś mamy demokrację parlamentarno-gabinetową. Jej sztandarowym obrazkiem jest stabilna parlamentarna większość. Najlepiej koalicyjna, bo wtedy reprezentuje poglądy i interesy większej grupy wyborców niż jednej partii.

Taka większość pozwala na stworzenie rządu. Najlepiej złożonego z fachowców. Ten dzięki parlamentarnemu zapleczu może realizować koalicyjny program. Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

Aby taki wzorcowy obrazek powstał, trzeba wymaganą większość złożyć z politycznych puzzli. „Pucli”, wymawianych po polsku. Puclami w tej układance są partie polityczne. Ale tylko te, które w parlamentarnych wyborach przekroczą pięcioprocentowy próg wyborczy.

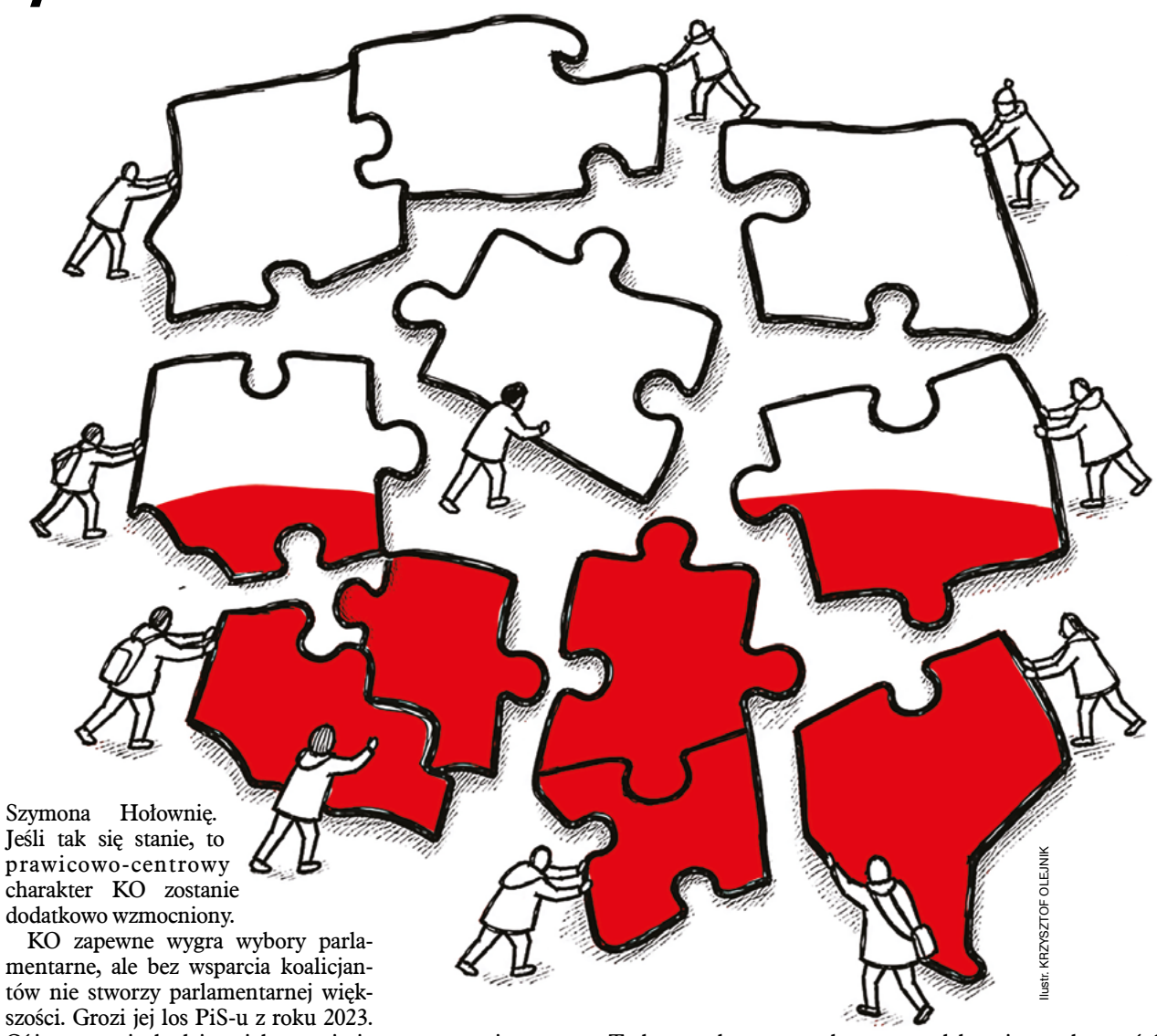

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

KO na schodach

Zanim poznamy rzeczywiste wyniki przyszłorocznych jesiennych wyborów parlamentarnych, musimy zadowolić się przedwyborczymi sondażami. Wiele ich znamy. To pozwala oszacować polityczną wartość partyjnych puzzli.

I spróbować już dziś ułożyć przyszły wzorcowy obrazek.

We wszystkich sondażach wygrywa Koalicja Wyborcza. W poprzednich wyborach startowała jako formacja centrolewicowa. Uzyskała wtedy drugi wynik wyborczy. Ale posiadała duże zdolności koalicyjne. I dzięki nim wraz z ugrupowaniem zwanym Trzecią Drogą, uzyskującym trzeci wynik wyborczy, oraz Nową Lewicą, z czwartym wynikiem, ułożyła obecną większość parlamentarną. I stworzyła rząd pod przewodem Donalda Tuska.

Po trzech latach rządzenia KO ma poparcie sondażowe powyżej 30 proc. Wyższe niż w 2023 r. Pomimo że jej lider Donald Tusk cieszy się zwykle mniejszą akceptacją.

W czasie pełnienia rządów profil polityczny KO przesunął się na prawo.

Dziś to formacja prawicowo-centrowa, choć w klubie parlamentarnym KO znajdziemy grono parlamentarzystów o ugruntowanych lewicowych poglądach. Ale oni teraz nie tworzą politycznej „narracji” tej formacji.

W sejmie plotkuje się, że w przyszłorocznych wyborach na listach wyborczych KO znajdą się też obecni posłowie z Partii Centrum. Powstałej po rozłamie Polski 2050, firmowanej w 2023 r. przez Szymona Hołownię. Jeśli tak się stanie, to prawicowo-centrowy charakter KO zostanie dodatkowo wzmocniony.

KO zapewne wygra wybory parlamentarne, ale bez wsparcia koalicjantów nie stworzy parlamentarnej większości. Grozi jej los PiS-u z roku 2023. Cóż z tego, że będzie miała w sejmie największy klub parlamentarny, skoro nowy rząd może stworzyć obecna radykalna, opozycyjna prawica.

Aby KO nie straciła władzy, muszą być spełnione dwa warunki.

PSL musi znowu przekroczyć próg wyborczy. Dziś sondaże nie prognozują tego. Ale od wielu lat PSL jest w takich sondażach niedoszacowany. Bo PSL silny jest na wschodzie Polski, a słaby na zachodzie.

W ostatnich latach PSL startował w wyborach zawsze z innymi, mniejszymi ugrupowaniami. Suma ich poparcia dawała im niezły wynik. Potem PSL zawsze rozwodziło się z nimi. By na kolejne wybory zejść się z nowym parterem.

PSL od lat uchodzi za centrowo-prawicową „partię obrotową”. Posiadającą wielkie zdolności koalicyjne. Niezależnie od wyników wyborów zwykle rządził „koalicjant PSL”. Ale dziś trudno znaleźć w Polsce ugrupowanie, które wcześniej nie startowało z PSL. Z którymi PSL jeszcze się politycznie nie rozwiódł. W sejmie plotkuje się, że takim być może część obecnej Polski 2050, po „przebrandowieniu” jej wraz z oddelegowanymi tam przez Tuska popularnymi samorządowcami.

Drugim warunkiem jest jak najlepszy wynik listy lewicy. Choć sondaże zgodnie przewidują reprezentację Nowej Lewicy w przyszłym sejmie, to jej sondażowy wynik nie przekracza 10 proc. poparcia. Co przy obecnym systemie liczenia głosów i liczbie mandatów w okręgach wyborczych znacznie obniża liczebność przyszłego lewicowego klubu parlamentarnego.

Ideałem byłaby wspólna lista wyborcza całej polskiej lewicy. Także z Partią Razem i Nową Falą Joanny Senyszyn. Bo polscy wyborcy lewicowi, zwłaszcza ci starsi wiekiem, wielce cenią jedność na lewicy.

O takiej wspólnej liście wspominał już lider Nowej Lewicy, marszałek Czarzasty. Wiedząc, że jego ugrupowanie zyska na tym najwięcej.

Zapewne zyskałaby na tym także Nowa Fala, bo daje jej szanse na posiadanie w sejmie kilku wyrazistych liderów. Start samodzielny może być ryzykowny. Na takie ryzyko zdecydować się może Partia Razem. Co prawda sondaże nie przewidują, że przekroczy próg wyborczy i znów będzie w sejmie, ale gwarantują jej 3 procent poparcia. Czyli subwencję z budżetu państwa. Niedużą, lecz na solidny klub dyskusyjny wystarczy.

Nowa Lewica miałaby szanse na pozyskanie nowych wyborców, gdyby miała własne media. Cóż z tego, że lewicowi ministrowie wiele dobrego robią, są kompetentni i pracowici. Skoro o tym wiedzą tylko ci ministrowie i lewicowi parlamentarzyści. Nawet członkowie Nowej Lewicy często o tym nie wiedzą. A polscy lewicowi wyborcy przypisują te dokonania całej kolacji i rządowi Tuska.

Spore szansę na odnowienia mandatu ma też posłanka Paulina Matysiak. Była w Partii Razem, teraz jest niezależna. Ale pod warunkiem, że wystartuje w Kutnie, z listy Rozwój Plus, i dostanie tam wysokie miejsce na liście.

Prawica w czyśćcu

Dziś najbardziej możliwym jawi się najgorszy scenariusz dla polskiej opozycyjnej prawicy. Jej cztery listy wyborcze, konkurujące z koalicją Tuska i dodatkowo walczące ze sobą. Osobne listy kaczyńskiego PiS, Rozwoju Plus Morawieckiego, Konfederacji Bosaka/Mentzena i Korony Brauna.

Nawet gdyby doszło do przedwyborczego małżeństwa z rozsądku pomiędzy dwoma obecnymi rozwodnikami, czyli PiS i Rozwojem Plus, to wspólna ich lista wyborcza mogłaby nie przekroczyć 25 proc. poparcia wyborczego.

Ale może ziścić się najgorszy dla wszystkich scenariusz.

Przyszłoroczne wybory wygra KO z wynikiem powyżej 35 proc. poparcia. Drugi wynik osiągnie kaczyńskie PiS, na poziomie ledwo 20 proc. poparcia. Jako trzecia Konfederacja Bosaka/Mentzena osiągnie naście procent. Korona Brauna może otrzeć się o 10 proc., a Rozwój Plus może przeskoczyć próg wyborczy. Ale nie musi.

Jeśli lewicowi koalicjanci Tuska nie przekroczą 10 proc. poparcia, podobnie jak PSL z dodatkiem, to przyszła koalicja rządząca zależeć będzie od przewagi rzędu kilku parlamentarzystów.

Bo obowiązujący w Polsce system przyznawania mandatów poselskich preferuje listy wyborcze, które uzyskują nie tylko wysokie wyniki, ale też pozostawiają w tyle konkurencyjne. Dlatego jeśli KO wygra dużą różnicą z PiS i pozostałymi, to dostanie solidną premię mandatów.

Kandydaci KO nie będą musieli ostro konkurować z kandydatami lewicy i czasem PSL, bo będą łowić wyborców w innych stawach. Kandydaci PiS, Rozwoju Plus, Konfederacji i Korony skazani są na jedno prawicowe jezioro. Wielkie, ale jedno.

Trzeba przypomnieć, że w polskim systemie wyborca głosuje jednocześnie na partię i kandydata. Zawsze około 30 proc. wybiera pierwszego kandydata na liście, akceptując decyzję ich partii. Ale wielu wyborców wybiera kandydatów umieszczonych na dalszych, nawet końcowych, miejscach na listach. Bywa, że taki zyskuje nawet więcej głosów niż namaszczona przez partyjnych liderów „jedynka”. To daje wszystkim szanse na wybór i czyni wybory nieprzewidywalnymi w pełni.

Skoro każdy na liście ma szansę na mandat, to w czasie kampanii wyborczej

każdy z kandydatów ma przeciwników i śmiertelnych wrogów. Przeciwnikami są kandydaci z innych list i im poświęca mniej czasu i energii niż śmiertelnym wrogom. Czyli koleżankom i kolegom z wspólnej listy wyborczej.

To ich plakaty i banery są zasłaniane przez banery kolegów z listy. To ich ruguje się z zaprzyjaźnionych lokalnych mediów. To przed nimi siada się w czasie imprez wyborczych. To o ich brudach informuje się zaprzyjaźnione media – albo, jako „przeciek kontrolowany”, także media uznane za wrogie.

Im niższe są notowania list wyborczych w przedwyborczych sondażach, tym brutalniejsza jest walka pomiędzy kandydatami z tych samych list.

Kto z kim do rządu

Może zdarzyć się cud nad urną, czyli mobilizacja „demokratycznych” wyborców. Wtedy KO + Nowa Lewica + PSL uzyska niewielką większość. Dziś bardziej prawdopodobne jest, że to „brunatni” zyskają taką większość. Ale z mandatami Korony Brauna. Wiemy już, że Wielki Brat z USA nie zaakceptuje rządu z udziałem koroniarzy Brauna. Zatem powstanie mniejszościowy rząd „brunatnych”. Popierany przez koroniarzy w sejmie i błogosławiony przez prezydenta Nawrockiego.

Tak rząd może przetrwać kadencję, ale też może rozpaść się już po roku. Wtedy w 2029 r. będziemy mieli jednocześnie wybory do Parlamentu Europejskiego, samorządów oraz przedterminowe do sejmu i senatu.

Może zdarzyć się, że wejdziemy w cykl zmieniających się rządów mniejszościowych i przedterminowych wyborów parlamentarnych.

I wtedy przypomnimy sobie pointę „Układanki” Młynarskiego.

„Ja mam dość tych dyrdymałków,
spójrzcie same, jeśli łaska,
przecież żaden z tych kawałków
nie pasuje do obrazka!
Ja bym mógł do ciemnej nocki,
tak układać z wami razem,
ale dajcie nowe klocki
albo zmieńcie ten obrazek!”

PIOTR GADZINOWSKI

Rys. OBYWATEL JANEK

niedemokratyczne, siłowe. Nazywają to demokracją walczącą.

Jednocześnie pojawiła się tendencja, żeby w imię zwycięstwa nad drugą stroną likwidować mniejsze podmioty, łącząc je w jednym bloku wyborczym. Wszystko zmierza do tego, żeby starły się dwa bloki. Lewica w ten sposób zaniknie całkowicie w obozie neoliberalnym, a PiS wystąpi wspólnie z faszystami od Brauna, czemu prezes Kaczyński się opiera, ale coraz słabiej. W ten sposób treść programu straci znaczenie na rzecz skuteczności w walce z drugą stroną.

W tym zajadłym sporze obywatele i ich problemy schodzą na coraz dalszy plan. Wszyscy oni mają nas w pompie.

PIOTR IKONOWICZ

Rys. WIDGET

eprasa.pl a6e25f4765

Alternatywa dla Polski

Nie głosowali, ale się cieszą

Polska prawica po niedzielnych wyborach w Saksonii-Anhalt bardzo chce się cieszyć, ale nie bardzo wypada. Alternatywa dla Niemiec (AfD) zdecydowanie wygrała tam wybory do parlamentu kraju związkowego: według wstępnych oficjalnych wyników dostała 43,8 proc. głosów i 39 z 83 mandatów. Rządząca dotąd CDU zdobyła zaledwie 17,2 proc. i 15 mandatów. Dalej znalazły się partie lewicowe i Zieloni.

Nie oznacza to jeszcze przejęcia przez AfD władzy. Do bezwzględnej większości zabrakło jej trzech mandatów, a pozostałe partie nadal oficjalnie przestrzegają zasady „Brandmauer", czyli „muru ogniowego" wykluczającego współpracę ze skrajną prawicą.

Polityczny sygnał jest jednak jasny. AfD ponad dwukrotnie poprawiła wynik z 2021 r., kiedy dostała 20,8 proc. W wyborach federalnych w 2025 r. zdobyła 21 proc. i została największą partią opozycyjną w Bundestagu. Teraz w jednym ze wschodnich landów zbliżyła się do 45 proc. Skrajna prawica nie stoi więc już pod drzwiami niemieckiej polityki. Jest w salonie i rozgląda się za barkiem.

Część prawicy z trudem kryje radość.

Prawdziwi przyjaciele

Pisarz fantasy i głośny internetowy politykier Jacek Piekara nawet nie próbował. „Dziś Saksonia, jutro całe Niemcy... Brawo, @AfD!" – napisał 6 września na X. Następnie rozwinął geopolityczną teorię entuzjazmu. Zwycięstwo AfD ma być „dla Polski najlepszym rozwiązaniem", ponieważ CDU/CSU i SPD są sojusznikami Moskwy i Brukseli. AfD wprawdzie też sprzyja Moskwie – przyznał Piekara – ale za to jest wrogiem Brukseli.

To fascynujący moment w historii polskiej myśli strategicznej. Rosja jest zła, Niemcy są złe, ale kiedy rosyjscy przyjaciele w Niemczech nie lubią również Unii Europejskiej, to po wykonaniu odpowiednich działań matematycznych wynik wychodzi dodatni.

Jacek Wilk z Konfederacji Korony Polskiej opublikował wyniki exit poll ze słowem „Nokaut". Kiedy okazało się, że AfD ociera się o samodzielną większość, dopisał: „Niemcy się budzą".

Rafał Ziemkiewicz przedstawił bardziej rozbudowaną wersję tego samego rozumowania. „Zdecydowanie wolę AfD" – oznajmił, bo lepiej mieć w Berlinie „otwartych wrogów niż fałszywych przyjaciół". Fałszywymi przyjaciółmi są oczywiście dotychczas rządzący Niemcami politycy CDU i SPD. Zdaniem Ziemkiewicza ewentualny rząd AfD nie dostałby dla swoich antypolskich działań takiego wsparcia „eurokracji", jakie mają niemieckie partie establishmentowe.

Filip Memches z „Do Rzeczy" był ostrożniejszy. „Sukces AfD nie budzi mojego entuzjazmu. Ale zawsze odczuwam schadenfreude, kiedy demokracja obraca się przeciw tym, którzy się na nią najgłośniej powołują, lecz głos ludu mają tak naprawdę gdzieś".

Demokracja ma tu najwyraźniej tę przyjemną właściwość, że głos ludu brzmi szczególnie donośnie, gdy lud chce wywalać migrantów. Kiedy domaga się prawa do aborcji albo życia bez religii, głos ludu zmienia się w dyktat lewackich elit.

Zdzisław Krasnodębski, uchodzący w PiS za znawcę Niemiec, nazwał wybory „wielkim świętem demokracji". Profesor martwi się za to, że pozostałe partie, utrzymując „Brandmauer", będą w sposób „antydemokratyczny" wykluczać 44 proc. wyborców i traktować ich jak faszystów. Dzień później tłumaczył słuchaczom Radia Wnet, że wynik AfD zapowiada odwrót Europejczyków od dotychczasowej polityki migracyjnej, klimatycznej i wielokulturowej.

Czyli AfD może i trochę straszna, ale przynajmniej w najważniejszych sprawach wkurwia się mniej więcej tym samym co my.

Niemiec i Polak razem nie tym razem

Nie cała prawica przyjęła jednak wynik z satysfakcją. Marek Jurek ostrzegał przed tym, co sukces AfD może oznaczać dla niemieckiego nacjonalizmu.

„Najważniejszy wniosek z wyborów w Saksonii-Anhalt: Niemcy w coraz większym stopniu poczucie winy będą zamieniać na poczucie krzywdy" – napisał na X. Według Jurka podobne niemieckie „poczucie krzywdy" towarzyszyło już powstaniu II Rzeszy, ekspansjonizmowi przed I wojną światową oraz reakcji na traktat wersalski, która stworzyła podatny grunt dla nazizmu. Za każdym razem kończyło się to niemieckim rewizjonizmem, a Polska zwykle znajdowała się w bardzo niewygodnym miejscu mapy.

Mówiąc mniej akademicko: czasami kończyło się wpierdolem zebranym przez dzielną Polskę.

AfD nie jest niemieckim oddziałem Konfederacji powołanym do realizacji interesu Rzeczypospolitej. Jest niemiecką partią nacjonalistyczną. Chce zakończenia pomocy dla Ukrainy, odbudowy stosunków gospodarczych z Rosją i zdecydowanego ograniczenia migracji. Jej politycy regularnie wywołują skandale wypowiedziami o nazizmie, niemieckiej historii, powojennych wysiedleniach i dawnych ziemiach niemieckich.

Dlatego toast trzeba wznosić ostrożnie, żeby kieliszkiem nie wybić sobie zębów.

I tutaj historia robi się zabawnie znajoma.

Po dojściu Hitlera do władzy w 1933 r. również część polskiej prawicy i konserwatywnych publicystów patrzyła na wydarzenia w Niemczech z mieszaniną podziwu, nadziei i niepokoju. Tadeusz Gluziński z „Myśli Narodowej" pisał, że „naród niemiecki jest jeszcze chory i hitleryzm ma go uzdrowić".

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Nie było wtedy geopolityków na YouTubie, ale byli Władysław Studnicki i Stanisław Cat-Mackiewicz. Dostrzegali wady nazizmu, ale uważali, że z Hitlerem warto próbować się dogadać. Rozumowanie było proste: Niemcy są niebezpieczne, ale Związek Radziecki jeszcze bardziej. Hitler nienawidzi komunizmu i będzie chciał walczyć z ZSRR, więc może da się wykorzystać Niemcy przeciw Rosji.

Oczywiście AfD to nie NSDAP. Ciekawa jest nie analogia między partiami, tylko podobieństwo intelektualnej ekwilibrystyki ich polskich admiratorów.

Dziewięćdziesiąt lat temu było: Niemcy może niebezpieczne, ale przydadzą się przeciw Rosji.

Dzisiaj słyszymy: Niemcy może niebezpieczne, Rosja może niebezpieczna, ale najgorsza jest Unia, więc Niemcy razem z Rosją mogą się przydać przeciw Brukseli.

Postęp polskiej geopolityki jest. Kiedyś potrzebowaliśmy jednego wrogiego mocarstwa do obrony przed drugim. Teraz dwa potencjalnie wrogie mocarstwa mogą nam pomóc pokonać Komisję Europejską.

Międzynarodówka suwerenistów

Ziemkiewicz i inni prawicowi suwereniści od lat tłumaczą swoim odbiorcom, że UE jest w istocie mechanizmem niemieckiej dominacji nad Europą. Niemcy za pomocą euro, komisji, regulacji i całego brukselskiego oprzyrządowania podporządkowują sobie Polskę, Włochy i resztę kontynentu. Ziemkiewicz komentował już po wyborach: polityka UE pozwalała Niemcom „wydoić południe UE i wzbogacić się kosztem nowych członków".

Jednocześnie z nadzieją patrzą na niemieckich nacjonalistów, którzy mają ten system rozwalić. Ale po cholerę mieliby go rozwalać?

Jeżeli Unia naprawdę została skonstruowana jako maszyna do niemieckiej dominacji, to niemiecka partia kierująca się jeszcze bardziej bezwzględnie niemieckim interesem narodowym powinna podkręcić obroty i wjechać niemiecką dominacją do Polski na pełnej kurwie.

Prawicowi publicyści sami nie wierzą w bajkę, którą od lat opowiadają swoim Czytelnikom.

„Niemiecka Unia" jest znakomitym straszakiem wyborczym, ale prawdziwy konflikt radykalnej prawicy z UE leży gdzie indziej. Unia powstała między innymi jako polityczny sposób rozładowywania europejskich konfliktów narodowych. Zamiast ustalać, kto ma rację, przesuwając granice i mordując cywilów, Europejczycy od kilkudziesięciu lat torturują się posiedzeniami, kompromisami i dyrektywami. Jest to mniej widowiskowe, ale statystycznie bezpieczniejsze.

Z czasem ten system obudował się ochroną praw jednostki i mniejszości, niezależności sądów, praw kobiet, swobody życia prywatnego i zasadami ograniczającymi możliwość urządzenia całego państwa dokładnie według chwilowych zachcianek aktualnej większości.

I właśnie tutaj polski nacjonalista odkrywa duchowe pokrewieństwo z niemieckim.

Łączy ich niechęć do migrantów, liberalizmu, feminizmu, mniejszości, kosmopolityzmu, niezależnych instytucji i całej tej irytującej nowoczesności. Pięknie podsumował to kiedyś senator Polak z „Poranka kojota", pomstując przy wódce na „biurokratów żrących swe hamburgery w Brukseli".

Polska radykalna prawica jest więc gotowa powitać przerażającą „niemiecką dominację" z otwartymi ramionami, jeśli tylko przyjedzie pod flagą konserwatywnej kontrrewolucji. Niech zamknie granice przed migrantami, rozprawi się z „ideologiami", przywróci kobietom właściwe miejsce, podporządkuje instytucje politycznej większości. A jeśli dołączy Rosja, powstanie prawdziwa międzynarodówka suwerenistów: każdy będzie bronił własnej suwerenności, wspólnie pomagając większym państwom ograniczać suwerenność mniejszych.

Na końcu tej drogi ten geopolityczny gambit przeciwko UE zaczyna podejrzanie przypominać historyczne wpierdole, jakie Polska zbierała od sąsiadów.

LEON ORŁOWSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Posłanka Maria Kurowska najlepiej czuła się w domowych pieleszach. Sypiała na środku salonu – w barłogu ułożonego z brudnych ubrań, mchu i błota. Jadała to, co zdołała upolować: zające, lisy i drobniejsze ssaki. Piekła je na ognisku, które rozpalała w gabinecie.

Był piątek. Kurowska zdmuchnęła kołtun, który zsunął jej się z czoła, dobyła maczugi, jaką nosiła u boku, rozebrała barykadę przy drzwiach wejściowych – i wymknęła się na zewnątrz. Szła na lekko ugiętych nogach, rozglądając się wzrokiem bystrym jak górski potok. Była czujna niczym ważka płaskobrzucha. Przygotowana na najgorsze.

Cóż złego mogło ją spotkać w skrajnie nieprzyjaznym środowisku? Atak tygrysa szablozębnego, szarża mamuta lub napaść tura. Ale najbardziej niebezpieczna była lewicowa ideologia… Mogła czaić się za każdym węgłem, z paszczą pełną ostrych zębisk i z trującym kolcem na końcu włochatego ogona.

– Niech będzie pochwalony, Mario – usłyszała szept dobiegający zza drzewa.

To podstęp! – wołała podświadomość. W trzech susach Kurowska dopadła pnia i maczugą walnęła szepczącą postać. Był to wychudzony aktywista, nasłany przez lewicową międzynarodówkę, która przemocą i dietą planetarną chciała zniszczyć zdrową tkankę społeczną.

Cios okazał się skuteczny. Aktywista zalał się krwią. Posłanka Prawa i Sprawiedliwości wyprostowała się i wydała okrzyk triumfu, z wdzięcznością spoglądając w niebo, gdzie kryła się nadzwyczaj dziś przychylna Najświętsza Panienka.

– Bóg zapłać – krzyknęła posłanka i poszła w las.

Za tysiąc lat potomek Kurowskiej odkryje koło, a kolejny potomek za następne tysiąc lat da się porwać nadzwyczajnej uczciwości Zbigniewa Ziobry.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Idioci i zdrajcy

Co premier wie o Niemczech

„W Polsce tylko idioci albo zdrajcy mogą się cieszyć z tryumfu AfD w Niemczech. Trochę się ich nazbierało w obu Konfederacjach i PiS" – ogłosił Donald Tusk w organie Elona Muska.

Ktoś kiedyś postanowił, że Donald Tusk jest wybitnym mężem stanu z wizją na miarę europejską. Tymczasem co krok przekonujemy się, że jego format jest – jak by to ująć – bardzo krajowy. Ktoś też uznał, że jest ekspertem od Niemiec – w końcu „Für Deutschland" – a tymczasem cała ta ekspertyza sprowadza się do posiadania swoistego patronatu niemieckich chadeków. Jeśli CDU u władzy zabraknie – co się łacno może zdarzyć – okaże się, że nasz premier nie ma żadnego przełożenia na Niemcy.

A co ważniejsze: wygląda na to, że tak naprawdę niewiele z nich rozumie.

Co rzeczywiście napędza popularność AfD?

Ostra retoryka antyimigrancka – to pewne. Jest ona bez wątpienia paskudna (nawiasem mówiąc – wcale nie tak różna od tego, co Tusk głosi w Polsce) – ale odkładając na chwilę sygnalizowanie cnoty, warto sobie odpowiedzieć, skąd bierze się jej popularność.

Odpowiedź jest cokolwiek oczywista: kryzys gospodarczy, wzrost bezrobocia, które przekroczyło już 3 mln, fakt, że co szósty obywatel tego nieprzytomnie zamożnego kraju żyje poniżej progu zagrożenia ubóstwem. W takim stanie niepewności jutra bardzo łatwo jest skierować gniew obywateli przeciwko „obcym" – w Polsce przerabiamy to z Ukraińcami. W przypadku Niemców różnica polega na tym, że źródło problemów gospodarczych jest widoczne dla wszystkich: utrata taniej energii z Rosji. Stąd AfD, która zapowiada zakończenie sankcji i powrót do współpracy, daje Niemcom nadzieję na odbudowanie gospodarki.

Warto odnotować, że w Saksonii-Anhalt do landtagu weszła także druga formacja, która postuluje zniesienie sankcji przeciw Rosji.

Moja ulubiona niemiecka lewica, antywojenny, anyzbrojeniowy Ruch Sahry Wagenknecht zdobyła pięć mandatów; AfD do większości brakuje trzech. Co nie oznacza – podkreślmy – że Wagenknecht wejdzie w koalicję z neonaziolami.

Andrej Hunko – jeden z 10 posłów, którzy dwa lata temu odeszli z Die Linke i założyli BSW – zapytany o to odpowiedział mi z oburzeniem: „Oczywiście nie". BSW proponuje rząd mniejszościowy z niezależnym premierem i deklaruje głosowanie z rządem tam, gdzie będzie to zgodne z ich programem. Co zdaje się ciekawym pomysłem – głównie jako papierek lakmusowy. Saksonia-Anhalt ma wymiar symboliczny: to niespełna 2 proc. niemieckiego PKB i 2,5 proc. obywateli.

Ważniejsze jest pytanie, czy ten model może zostać powtórzony po zaplanowanych za półtora roku wyborach do Bundestagu – jeśli AfD rzeczywiście je wygra. Jej program jest wewnętrznie sprzeczny – z jednej strony głosi tezy neoliberalne: ograniczenie deficytu, deregulację, obniżenie podatków, cięcie pomocy społecznej dla imigrantów; z drugiej obiecuje pracę i płacę, a także zwiększenie wydatków zbrojeniowych i emerytur. W sumie wzrost wydatków oceniany jest na co najmniej 300 mld euro, podczas gdy oszczędności – na 25 mld. Połączenie tego z postulatem zrównoważania budżetu jest mało realne. Przyszłość Niemiec zależy od tego, czy znajdzie się tam nieskompromitowana siła polityczna, zdolna wytłumaczyć to wyborcom.

I to są pytania, które powinniśmy sobie w Polsce zadawać – zwłaszcza specjaliści od Niemiec – zamiast wznosić oburzone okrzyki.

AWŁ

eprasa.pl a6e25f4765

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Barbarzyńcy w Dąbrowie

Wywrotowy kongres Polskiej Sieci Ekonomii

TINA – „There is no alternative" – to ponury slogan Margaret Thatcher, głoszący, iż dla jej aspołecznego darwinistycznego kapitalizmu nie ma alternatywy. Taki był nastrój skorumpowanych przez wielki kapitał elit lat 80. – za co płacimy do dziś. Zwłaszcza w Polsce, gdzie Leszek Balcerowicz wciąż uchodzi za ekonomiczny autorytet, a jego jaskiniowy neoliberalizm nadal uważany jest za mainstream nauk ekonomicznych.

Tymczasem alternatywa jest – i coraz głośniej o niej słychać. Jakby ktoś chciał posłuchać, warto było wybrać się do Dąbrowy Górniczej na organizowany przez Polską Sieć Ekonomii kongres Regeneracja. Ja się wybrałam, więc opowiem.

PSE to organizacja młodych ekonomistów, kategorycznie odrzucających status quo – co zyskało im chwalebną markę ekonomicznych bluźnierców. Od pięciu lat organizują otwarty dla wszystkich kongres, na którym wielu mądrych ludzi mówi mądre rzeczy o gospodarce, stosunkach społecznych, walce z nierównościami i konieczności zerwania z dewastującym planetę nałogiem „wzrostu gospodarczego".

Chłopaki – i dziewczyny – z PSE nie uprawiają miękkiej gry, co czyni ich szczególnie atrakcyjnymi. Jan Oleszczuk-Zygmuntowski – współprzewodniczący Sieci – rozpoczął kongres od stwierdzenia, iż „siły mówiące o płynięciu z prądem liczą na to, że Polacy ugną kark przed okupantem z big techów", co jest trafnym opisem obecnego statusu stosunków społecznych – a także, przyznacie, niezłym sposobem na ustawienie tonu dyskusji.

Pełczyńska-Nałęcz, masło i czołgi

Potem było nieco gorzej, bo na scenie pojawiła się ministra Pełczyńska-Nałęcz, którą skądinąd cenię za ustawiczne bycie kamieniem w bucie Donalda Tuska. Tym razem jednak okazała się nieco zbyt mainstreamowa. Zaczęła od obwieszczenia, że „zrobiliśmy ogromny skok, odkąd komunizm oddalił się spiesznie tam, gdzie powinien się oddalić" – co zapewne miało być błyskotliwe, ale zabrzmiało jak platformiana propaganda sukcesu, okraszona szczyptą kombatanckiej bezrefleksyjności. Dalej pojawiła się kilkukrotnie powtarzana fraza, którą ministra najwyraźniej uważa za bardzo udaną: że postęp powinien oznaczać „rozwój całej kamienicy, a nie jednego mieszkania" – co być może dobrze wyglądałoby na ulotce, ale w uszach publiczności poważnie zainteresowanej polityką i gospodarką brzmiało nieco infantylnie. Zaraz potem nastąpiło trącące thatcheryzmem oświadczenie, że „państwo ma wspierać, a nie zastępować" i że „nie ma przeciwwskazań, żeby elektrownia jądrowa była prywatna". Owszem są: jej zadaniem jest dostarczanie taniej energii w sposób bezpieczny dla środowiska i ludzi – a logika zysku nader często koliduje z tym celem, o czym przekonaliśmy się choćby w Fukushimie.

Potem było coś o „nierozrzucaniu pieniędzy byle gdzie", uzupełnione zawołaniem „totalne stop helikopterowym pieniądzom" – co jest nieco uproszczonym rozumieniem odpowiedzialnej polityki społecznej, które ministra szybko rozbudowała o stwierdzenie, że trzeba oszczędzać „na świętych krowach, a nie na zwykłych ludziach". Dalej Pełczyńska-Nałęcz – oskarżana przez rozłamowców ze swojej partii o odchylenie lewicowe – ogłosiła, że jest przeciwna darmowym posiłkom szkolnym dla wszystkich dzieci, co wywołało zasadne buczenie na sali. Nieco poprawiła swoje notowania stwierdzeniem, że nie wyklucza, iż wydajemy za dużo na zbrojenia – skoro wysokość tych wydatków jest z góry ustawiona na poziomie 5 proc. PKB, zamiast być uzależniona od rzeczywistych potrzeb. „Czyli nie armaty, tylko masło. Moim zdaniem: brawo" – zareagował bystrze Zygmuntowski, ale tu ministrze już zabrakło nieco odwagi i sprostowała: „Jeśli czołgi nie są potrzebne, to masło".

W sumie – co piszę z bólem, bo naprawdę kibicuję Pełczyńskiej-Nałęcz i jej lewicowemu odchyleniu – spotkanie z nią, które zainaugurowało kongres, było jego najsłabszym punktem.

Ale potem było już tylko lepiej.

Odwaga fiskalna kontra fałszywa świadomość

Pytanie zadane uczestnikom panelu zatytułowanego „Kogo dziś stać na odwagę fiskalną?" brzmiało: „Kiedy ograniczenie długu jest objawem kosztownej gospodarczo krótkowzroczności". Prof. Łukasz Hardt – ekonomista z UW i były członek Rady Polityki Pieniężnej – poczynił zauważenie tyleż oczywiste, co antyrządowe (krytycy powiedzą zapewne, że to dlatego, iż do RPP mianował go Andrzej Duda): że „rozwój to nie jest sam rozwój gospodarczy", dodając, że najświeższe dane OECD wskazują np., że zdrowie psychiczne polskich nastolatków jest najgorsze w UE; więc może propaganda sukcesu jest przesadzona. Powiedział też – brawurowo – że reguły fiskalne, ograniczające dług publiczny do 60 proc. PKB, wpisaliśmy do konstytucji pod koniec XX w. i odwaga to umiejętność postawienia pytania o ich zmianę.

Wielu z nas – wytresowanych przez monetarystyczną propagandę III RP – na propozycję zmiany reguł fiskalnych reaguje skurczem oskrzeli: bo wszak wiadomo, że „odpowiedzialność" oznacza oszczędzanie. Choć tak się składa, że zawsze dotyczy ono programów społecznych, nigdy wydatków zbrojeniowych

czy absurdalnych przywilejów podatkowych najbogatszych. Supermocą ekonomicznych buntowników z PSE jest gotowość przeciwstawienia się tym dogmatom.

Choć oczywiście nie jest to łatwe – co zilustrował Jan Sarnowski z SGH, skądinąd wiceminister finansów w rządzie Morawieckiego (tak się jakoś składa, że to ekonomistom z tej ekipy bliżej do postępowej wizji gospodarki, głoszonej przez PSE): że otóż sondaże wykazują, iż 88 proc. Polaków jest przeciw podnoszeniu podatków dla najbogatszych – co może wynikać z faktu, że każdy widzi bogactwo w swojej przyszłości. Co jest – to już mój komentarz – ponurym efektem wyprania nam mózgów przez amerykańską propagandę, wmawiającą ludziom na dnie drabiny społecznej, że jak będą ciężko pracować i cienko smarować margaryną, to wszyscy mają szansę awansować z pucybuta na milionera. Karol Marks nazywał to fałszywą świadomością.

Kalecki nieśmiertelny

Poważna rozmowa o Marksie – to kolejna z pereł kongresu. Polski dyskurs ekonomiczny jest ofiarą dziecięcej choroby antykomunizmu, od której kongres Regeneracji był ożywczo wolny. Mój ulubiony panel – zatytułowany zadziornie „Polscy ekonomiści – drugie natarcie" był poświęcony głównie tytanowi polskiej myśli ekonomicznej, Michałowi Kaleckiemu: na świecie (acz nie w Polsce) uważanemu za jeden z najwybitniejszych umysłów ekonomicznych XX w.

Kalecki był tym ekonomistą – mówiła o tym prof. Elżbieta Mączyńska, honorowy prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego – który zwracał uwagę, że ekonomia z nauki o procesie gospodarowania przekształciła się w chrematystykę, czyli naukę o zarabianiu pieniędzy, czego skutki są dla gospodarki światowej katastrofalne. Jeszcze w 2008 r. – prawie cztery dekady po śmierci Kaleckiego – noblista ekonomiczny Paul Krugman mówił o tym, że gdyby światowa gospodarka kierowała się naukami Kaleckiego, nie doszłoby do światowego kryzysu.

Dr hab. Gavin Rae z ALK, autor biografii jednego z najważniejszych uczniów i kontynuatorów myśli Kaleckiego, prof. Tadeusza Kowalika (którego skądinąd miałam przywilej poznać w latach 90. w Unii Pracy) przypomniał ostrzeżenie Kowalika: Kalecki gasi złudzenie, że możemy wybrać miły, sprawiedliwy kapitalizmu, albowiem nierówności są wpisane w jego naturę. Co więcej, nie są złe tylko z perspektywy moralności – rodzą brak efektywnego popytu, co powoduje brak inwestycji, który z kolei prowadzi do stagnacji i dlatego państwo musi interweniować poprzez inwestycji publiczne. Ten wniosek – powszechnie wiązany z pracami Johna Maynarda Keynesa – jest oryginalną myślą Kaleckiego, który swoje studia, jak wykazał Kowalik, oparł wprost na myśli Marksa i Róży Luksemburg. Co więcej – mówił o tym dr hab. Krystian Szadkowski z UAM – Kalecki miał tę przewagę nad Keynesem, że nie znał ekonomii tzw. klasycznego nurtu, więc nie musiał w sobie zwalczać tendencji do myślenia o gospodarce kategoriami prymitywnego kapitalizmu. Co – niestety – nie jest przywilejem obecnego pokolenia ekonomistów, kształconych według założeń niesławnego raportu Beksiaka.

Prof. Janusz Beksiak był tak radykalnym dogmatykiem wolnorynkowym, że Tadeusz Mazowiecki nie zdecydował się na powierzenie mu władztwa nad gospodarką w swoim rządzie (i tak, wiem, że brzmi to nieco ironicznie w kontekście Balcerowicza) – na pocieszenie dostał jednak możliwość zreformowania nauczania ekonomii na polskich uczelniach. I – przy asyście kapitału międzynarodowego – wyrugował z nich wszystko, co wiązało się z politycznością i historycznością ekonomii, głosząc, że jest to nauka ścisła, a wszelkie jej postrzeganie przez pryzmat kwestii politycznych i społecznych to złogi komunizmu. Do dziś możemy usłyszeć takie tezy od wielu „poważanych ekonomistów" głównego nurtu.

Nadzieja w spółdzielczości

Poza ruszaniem bryły świata z posad neoklasycznej ekonomii PSE ma jeszcze drugą misję: odrodzenie ruchu spółdzielczego. Panel na temat spółdzielczości – „Przyszłość ekonomii społecznej" – był poświęcony pamięci zmarłego w grudniu Cezarego Miżejewskiego (którego skądinąd też znałam – dla odmiany z PPS). Czarek był facetem, który niezależnie od wysokich funkcji, jakie od czasu do czasu pełnił – był posłem, wiceministrem pracy, dyrektorem w ministerstwie gospodarki – zawsze głosił te same wywrotowe tezy, albowiem, jak mówił, „z socjalistów nas nie zdejmą". Ostatnie lata poświęcił budowaniu spółdzielczości od podstaw.

Spółdzielczość – na panelu mówił o tym przewodniczący rady nadzorczej spółdzielczej aplikacji PLZ Tomasz Janas – że to jest ta forma własności, która oszczędza ludzi kosztem kapitału; która stawia na odporność zamiast szczytowej efektywności; która w kryzysie dostosowuje płace – podczas gdy spółka tnie zatrudnienie.

Żona Czarka, Anna Jurczyk-Miżejewska, poczyniła to samo smutne zauważenie, które w panelu ekonomistów usłyszeliśmy od Sarnowskiego: że członkowie spółdzielni inwalidów czy spółdzielni rolniczych odrzucają najbardziej demokratyczną i propracowniczą formułę przedsiębiorstwa ekonomii społecznej, bo liczą na to, że kiedyś dostaną zyski z kapitału (co formuła PES wyklucza).

Osobiście – znów – winię Amerykę.

Centaur postawiony na głowie

Na zakończenie dwudniowego kongresu organizatorzy zostawili gwiazdę międzynarodową. Kanadyjski pisarz Cory Doctorow zdobył sławę jako twórca literatury fantastycznonaukowej, ale dziś jest przede wszystkim znany jako publicysta i aktywista w walce z technofaszymem, autor terminu „gównowacenie" (pisał o nim u nas Tymoteusz Kochan, „NIE" 22–23/2026). To zjawisko polegające na stałym, celowym pogarszaniu jakości usług, będącym świadomą strategią cyfrowych gigantów, które osiągnęły monopol, więc nie muszą walczyć o klientów. Jeśli 90. proc. świata używa wyszukiwarki Google – to Google może sobie pozwolić na to, żeby wyszukiwarkę pogorszyć, tak żeby użytkownik zamiast raz musiał szukać trzy razy, co oznacza, że trzy razy obejrzy reklamy.

Doctorow jest także autorem konceptu „odwróconego centaura". W teorii automatyki „centaur" – koń z ludzką głową – to człowiek wspierany przez maszynę, używający jej siły, kierujący jej pracą. Koncept nienowy – centaurem jest choćby człowiek na rowerze (jak dodaje Doctorow: nawet wygląda jak centaur). Odwrócony centaur – to człowiek zredukowany do roli pomocnika maszyny: np. ten sam człowiek na rowerze, będący kurierem, którego pracą kieruje aplikacja. Szczytowym osiągnięciem takiego myślenia są magazyny Amazona, gdzie większość prac wykonują maszyny, szybsze, sprawniejsze i silniejsze od ludzi. Kiedy człowiek staje się dodatkiem do takich maszyn, zmuszonym pracować w ich tempie, czyli ponad swoje siły – liczba wypadków wzrasta (w przypadku Amazona – trzykrotnie) i wielu z tych ludzkich asystentów nowoczesnej technologii opartej na SI kończy nadzianych na wózki widłowe.

Groźba związana z rozwojem sztucznej inteligencji – twierdzi Doctorow – na tym się nie kończy. Rzecz w tym, że inne przełomy technologiczne były dochodowe od razu, a i tak inwestorzy zwiększali ten dochód, wyciskając pracowników i konsumentów. SI traci pieniądze w potwornym tempie; np. start-up Muska xAI odnotował stratę rządu 2,4 mld dolków. Takich pieniędzy nie da się odrobić, wyciskając obecnych pracowników i konsumentów. Jedyna droga do finansowego sukcesu – to zastąpienie wielkich rzesz pracowników przez SI.

I to nie tylko – dodaje Doctorow – najniższego szczebla: taksówkarzy, gwiazd porno, grafików komputerowych etc. Następni będą świetnie opłacani programiści, których szefowie korporacji darzą żarliwą nienawiścią, bo przychodzą do pracy, kiedy chcą, mają różowe włosy i koszulki z niejasno obelżywym napisem – a Bezos chciałby ich ubrać w mundurki i kazać im sikać do butelki, jak pracownikom swoich magazynów.

Doctorow – który niedawno pokonał nowotwór – używa jeszcze innego przykładu: sztuczna inteligencja w radiologii. Bez wątpienia jest ona w stanie od czasu do czasu wykryć guzek, który oko radiologa może przeoczyć. Ale przecież żaden akwizytor nie przyjdzie do dyrektora szpitala z komunikatem: zatrudniasz 10 radiologów, każdemu płacisz 300 tys. rocznie, razem trzy bańki, kup ode mnie jeszcze system za bańkę, żeby udoskonalić ich pracę. Komunikat będzie brzmiał: wywal dziewięciu, zaoszczędzisz 2,7 mln, z czego pół zostawisz sobie, a pół zapłacisz mi za system, który może się pomylić. I do tego będzie służył ten ostatni pozostawiony w pracy radiolog: będzie podpisywał wyniki badań, a jak SI się walnie i ktoś umrze – poniesie odpowiedzialność.

Świat przedstawiany przez Doctorowa – i 150 innych prelegentów kongresu Regeneracja V – nie jest wesoły. Ale nie jest też tak beznadziejny jak obraz, który wyłania się opowieści polityków i mediów głównego nurtu: że dla neoliberalnej gospodarki działającej wyłącznie w interesie najbogatszych, militarnego amoku i dyktatury big techów nie ma alternatywy.

Jest, tylko musimy o nią zawalczyć.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl a6e25f4765

Dewiantów rozmnażanie

Tak to się dzieje, jak o prawie karnym stanowią krzykliwe tytuły

W Polsce każda władza wyjątkowo lubi budować politykę karną z komunikatów prasowych. Im straszniejsza nazwa, tym lepsza ustawa. Rejestr sprawców czy kastracja chemiczna brzmią twardo. „Zero tolerancji" brzmi jeszcze lepiej. Ochrona dzieci jest hasłem, z którym nie sposób polemizować, bo tylko idiota chciałby dzieci nie chronić. Proporcjonalność kary do przewiny jest wszak sformułowaniem kompletnie beznadziejnym wyborczo. Nie da się z nim zrobić billboardu. „Będziemy indywidualizować konsekwencje prawne w zależności od oceny ryzyka" nie wygrywa wyborów, zaś „dopadniemy pedofilów" – owszem. Problem zaczyna się, kiedy polityczne hasło zostaje przełożone na ustawę, a ustawa zaczyna obsługiwać przypadki, których maniacy karania na pewno nie brali pod uwagę.

Niespodzianka z automatu

Nastolatka zrobiła koleżance świństwo. Ściągnęła jej fotografię profilową z internetu, komputerowo ją zmieniła, tworząc kompromitującą doklejkę jej twarzy do golizny z sieci, a potem pokazywała taki kolaż koleżankom. Nie był to niewinny żart, ofiara miała pełne prawo czuć się skrzywdzona, a sąd rodzinny miał pełne prawo wkroczyć i dojść do przekonania, że zachowanie dziewczyny odpowiada czynom, w których kodeks karny widzi producenta i siewcę pornografii dla nieletnich. Uczennica przeprosiła pokrzywdzoną, żałowała, zrozumiała swój błąd, a z materiałów sprawy wynikało, że incydent był jednorazowy. W rezultacie sąd zastosował najłagodniejszy środek – upomnienie. Najwyraźniej nie doszedł do przekonania, że ma przed sobą seksualnego drapieżnika. Państwo miało jednak inny pogląd, bo dane dziewczyny znalazły się w rejestrze sprawców przestępstw na tle seksualnym.

Rzecznik praw obywatelskich wniósł więc w lipcu 2026 r., żeby sąd skasował je z rejestru jako skutek niewspółmiernie surowy. Najzabawniejsze jest to, że dziewczyna i jej matka początkowo o wpisie nie wiedziały. Sąd o nim nie wspomniał. Ba,

informacja o znalezieniu się na liście seksualnych predatorów nie musi znaleźć się w orzeczeniu, ponieważ wpis do rejestru następuje z automatu. Osoba dowiaduje się więc o wpisie po fakcie, kiedy orzeczenie jest już prawomocne.

Państwo wynalazło więc odpowiedzialność w wersji niespodziankowej. Sąd komunikuje człowiekowi to, co wobec niego orzeka, a ustawa dorzuca sankcję, którą obywatel odkryje później. RPO od lat uważa ten pomysł za idiotyzm i postuluje, aby decyzja o dopisaniu do rejestru była jasno rozstrzygana przez sąd – właśnie dlatego, że wpis powoduje bardziej niż poważne konsekwencje.

A w sprawach nieletnich taki ślad nie musi zniknąć wraz z osiemnastką. Reguły usuwania danych powodują, że może ciągnąć się przez 10 lat – do okolic 28. urodzin. Dzieciak zdąży przestać być dzieciakiem, skończyć szkołę, studia, przepracować parę lat czy założyć rodzinę, ale baza dewiantów nadal będzie pamiętała. Ustawa daje do niej dostęp pracodawcom działającym między innymi w edukacji, wychowaniu, opiece, wypoczynku czy pracy z małoletnimi. Dlatego znany jest głównie jako „rejestr pedofilów".

Rys. WIDGET

Nieletni pedofile

Najgorsze, że dla ludzi tworzących prawo w Polsce to żadna nowina. W 2019 r. RPO zajmował się 16-letnią dziewczyną, która nawiązała relację z niewiele młodszym chłopakiem i wymieniała z nim wiadomości o seksualnej treści. Jej zachowanie zakwalifikowano jako uwodzenie nieletnich w sieci. Sąd uznał, że wystarczające będzie upomnienie, ale dane oczywiście trafiły do rejestru. Rzecznik argumentował, że sytuacja była „błędem młodości", a nie efektem zaburzeń seksualnych. I sąd argumentację kupił, kasując dane nastolatki.

Był też 14-letni chłopak, którego sprawa zakończyła się początkowo 10 godzinami prac społecznie użytecznych. Chodziło o propozycję seksualną skierowaną do 13-letniej dziewczyny. Chłopak wcześniej nie był notowany przez sąd rodzinny, miał bardzo dobrą ocenę z zachowania, zrozumiał niewłaściwość tego, co zrobił, i okazał skruchę. Co z tego – skoro wpis miał jednak swoje życie i bez zmiany orzeczenia dane chłopaka pozostawałyby w rejestrze aż do 2032 r.

W 2020 r. RPO wystąpił w kolejnej sprawie dotyczącej nastolatka, wobec którego sąd zastosował zaledwie upomnienie. Chodziło o niedwuznaczną propozycję wysłaną rówieśniczce mailem. Przeprosił potem i był grzeczny. Po co więc dodatkowa wieloletnia stygmatyzacja człowieka, którego zachowanie zostało już skorygowane – spytał RPO, a sąd przychylił się do tej argumentacji i zdecydował o wykasowaniu chłopaka z rejestru.

Potem pojawił się 14-latek, który w wiadomości wysłał koleżankom odsyłacz do nieodpowiedniej dla ich wieku treści internetowej. Przed sądem określał swoje zachowanie jako „głupi żart". Sąd zobowiązał go do właściwego zachowania wobec koleżanek. Ale prawo wpisało na listę pedofilów i jego. Gdyby wpis pozostał, dane miały tkwić w systemie do 2033 r. RPO i tę sprawę w sądzie dla młodego człowieka wygrał.

Że nie jest to dyskusja o urażonej dumie nastolatka, dowodzi sprawa chłopaka urodzonego w 2003 r., który wychowywał się w domu dziecka. Kiedyś pokazał kumplom fotki ściągnięte z netu – czyli zaprezentował nieletnim treści pornograficzne. Sąd w 2019 r. uznał jego winę i zastosował między innymi nadzór kuratora. Chłopak poszedł na studia – na pracę socjalną z resocjalizacją. Były wychowanek bidula, który jako nastolatek popełnił czyn karalny, dorósł i wybrał kierunek przygotowujący do pomagania ludziom mającym problemy społeczne. Oto piękna reklama wychowawczej funkcji prawa. Tyle że w 2024 r. student miał odbyć praktyki w domu dziecka. I wtedy rejestr przypomniał sobie o jego młodości. Z powodu wpisu praktyk odbyć nie mógł. Pomogła interwencja RPO. Tak jak i w kilku dokładnie takich samych sytuacjach.

Kastracja frustracji

Dziwaczność polskich przepisów dotyczących zwalczania przestępstw seksualnych nie dotyczy wyłącznie dzieciaków. Dlatego dorosłych kastruje się chemicznie. Wiadomo przecież, że terapia farmakologiczna osłabiająca popęd seksualny jest karą tak straszną, że stosuje się ją wobec ludzi stanowiących szczególne zagrożenie dla innych. Takich jak pewna pani dla dwóch policjantów oraz protokołu przesłuchania.

Kobieta została oskarżona o dwa czyny. Pierwszy polegał na tym, że znieważyła dwóch gliniarzy słowami powszechnie uznawanymi za obelżywe. Drugi sprowadzał się do podarcia protokołu przesłuchania osoby podejrzanej znajdującego się w Komendzie Powiatowej Policji. Nie było tam ani jednego zarzutu dotyczącego seksualności, molestowania, pornografii, gwałtu. Nie było nawet nieprzyzwoitego SMS-a.

Sąd rejonowy doszedł jednak do wniosku, że kobieta była niepoczytalna. To oznaczało, że nie może odpowiadać za swoje czyny na zasadach ogólnych. Więc wraz z umorzeniem postępowania sąd zastosował środek zabezpieczający w postaci terapii farmakologicznej. Takiej przewidzianej dla osób, wobec których istnieje potrzeba osłabienia popędu seksualnego.

Nikt nie zapytał, w jaki sposób obniżenie popędu seksualnego miałoby sprawić, że ktoś przestanie drzeć policyjne dokumenty? Albo: czy obrażanie policjantów jest efektem nadmiaru testosteronu? Argumentowano, że środek znajduje uzasadnienie w opinii psychiatrycznej oraz potrzebie zapobieżenia podobnym zachowaniom w przyszłości.

W sprawie pojawił się RPO i w kasacji wskazał, że terapia farmakologiczna ma konkretny cel. A nie jest nim wychowywanie obywateli, uczenie ich kultury osobistej ani ochrona policyjnych protokołów. Bo „jedynym celem tej terapii jest osłabienie popędu seksualnego, a nie korygowanie zachowań podejrzanego".

O dziwo Sąd Najwyższy to kupił i zdecydował o wstrzymaniu wykonania wyroku w części dotyczącej terapii farmakologicznej, a miesiąc potem uchylił rozstrzygnięcie w tym zakresie, stwierdzając, że czyny przypisywane kobiecie „nie miały, co oczywiste, żadnego związku z jej popędem seksualnym".

Nie trzeba łagodzić walki z rzeczywistą przestępczością seksualną. Bo państwo powinno znacznie skuteczniej chronić ofiary, szybciej prowadzić postępowania, lepiej zabezpieczać dowody i zapewniać pokrzywdzonym pomoc. Ale robienie z nastolatków i wkurzonej baby drapieżników seksualnych to o kilka kroków za daleko.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Trzy konie z Końskowoli postanowiły własnowolnie sprawdzić, ile koni mechanicznych mieści się w rzeczywistości na ekspresówce S12. Uciekły z gospodarstwa w Młynkach. W ślad za nimi ruszył gorliwy obywatel, który telefonicznie naprowadzał radiowóz na kopytnych uciekinierów. Dzięki temu policyjny patrol mógł z satysfakcją wlepić właścicielce koni mandat za brak należytej ostrożności. Mamy tu do czynienia z nadzwyczajnym paradoksem: prawo ukarało człowieka za to, że nie miał żadnego wpływu na wolną wolę koni. W Polsce za bezwolność płaci się gotówką.

▮ 24-letni pracownik marketu w powiecie nowotomyskim odkrył najbardziej ekologiczny sposób zwracania butelek: bez butelek. Wykorzystując dostęp do systemu kasowego i terminala, ręcznie rejestrował fikcyjne zwroty opakowań. System naliczał kaucję, a pieniądze za nieistniejące butelki mężczyzna przelewał sobie BLIK-iem na konto. W ciągu jednego dnia uzbierał w ten sposób ponad 15 tys. zł, po czym przezornie zrezygnował z pracy. Kierownik sklepu, mniej podatny na innowacje, sprawdził transakcje i monitoring, po czym zawiadomił policję. 24-latkowi grozi do 10 lat więzienia.

▮ Sylwester Ziemkiewicz z PSL udowodnił, że 2,5 promila we krwi u siedzącego za kierownicą to nie upojenie, lecz stan natchnienia politycznego. Gdy zwykły śmiertelnik po takiej dawce ma problem z trafieniem w dziurkę od klucza, starosta płocki trafił w lukę w prawie. Ludowcy, znani z tego, że potrafią wyżywić się na każdym ugorze, tym razem dokonali cudu: zmienili starostę płockiego Ziemkiewicza w starostę wolontariusza. Ziemkiewicz teraz rządzi „społecznie", co w języku PSL oznacza, że władza jest słodsza od pensji, zwłaszcza gdy pozwala zachować stołek mimo wyroku. Szczytem elegancji jest jednak służbowa Toyota starosty z zamontowaną rurką do dmuchania. Teraz każdy wyjazd gospodarski zaczyna się od intymnego samogwałtu płuc, by maszyna uznała, że pan i władca jest godzien dotknąć kierownicy. Piękna lekcja polskiej demokracji lokalnej: mandat można stracić, twarz można przepić, ale powiatu i służbowej Camry PSL nie odda nigdy. Niech żyje wieś, zwłaszcza zmotoryzowana.

▮ Zakopane, światowa stolica oscypka i tandety, postanowiła przebić własny sufit absurdu. Zorganizowano tam Nocny Turniej Siatkówki Plażowej. Bo przecież wiadomo, że piasek najlepiej smakuje w zębach pod Giewontem i to koniecznie po ciemku. Przez 11 godzin 25 drużyn udawało, że są w Copacabanie. Burmistrz osobiście dostarczył piasek w workach, tym razem w celach sportowych. Do pełnego sukcesu zabrakło tylko morza, ale znając rozmach lokalnych włodarzy, pewnie już zlecili sprowadzenie Bałtyku w cysternach.

▮ W Tarnobrzegu 56-letni pilot śmigłowca Robinson postanowił sprawdzić wytrzymałość linii energetycznych. Ponieważ druty były martwe, pilot – zamiast zamienić się w skwarkę – wylądował, odleciał i przez dwa dni udawał, że nic się nie stało. W końcu sumienie lub strach przygnały go na komisariat. Sprawę badają teraz liczne komisje, choć wystarczyłby jeden lekarz od głowy, by zdiagnozować kogoś, kto lata na wirującym nożu do trawy i dziwi się, że świat stawia mu opór. To doprawdy imponująca konstrukcja psychiczna: najpierw igrać ze śmiercią w latającym mikserze, a potem szukać pocieszenia w protokołach policji.

▮ Posłanka PiS Agnieszka Wojciechowska van Heukelom skarży się, że słupki blokujące łódzką ulicę Piotrkowską uniemożliwiają taksówce podjazd pod same drzwi jej poselskiego biura. System tych zapór kosztował 5,8 mln zł i wciąż jest testowany. Przy okazji wyszło na jaw, że w 2025 r. posłanka wydała z publicznych pieniędzy rekordowe 21 211 zł na taksówki. Skoro za słupki i za taryfy zapłacili podatnicy, Wojciechowska niepotrzebnie się martwi. To nie jej pieniądze stoją w korku, tylko nasze.

▮ Polska wyrasta na zieloną potęgę. Jesteśmy już drugim rynkiem medycznej marihuany w Europie. 100 tys. pacjentów wydało w aptekach pół miliarda złotych tylko w tym roku, puszczając z dymem 12 ton towaru. Ten nagły skok sprzedaży sugeruje, że naród masowo zapadł na nowotwory i spastyczność, co jest diagnozą równie wiarygodną jak obietnice wyborcze. Po prostu Polacy znaleźli sposób, by legalnie odlecieć od rzeczywistości, a spadek cen sprawił, że „leczenie" stało się rozrywką niemal ludową. Czekam, aż biskupi uznają to za nowe kadzidło.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

▮ Media znów kwilą nad kolejkami do specjalistów, jakby państwowe lecznictwo kiedykolwiek miało służyć do leczenia, a nie do trenowania narodowej cierpliwości. W takim Gorzowie czy Krakowie na spotkanie z gastrologiem czeka się rok. To wystarczająco dużo czasu, by pacjent

eprasa.pl a6e25f4765

Nie potrzebujemy pana

A gdyby tak założyć spółdzielnię?

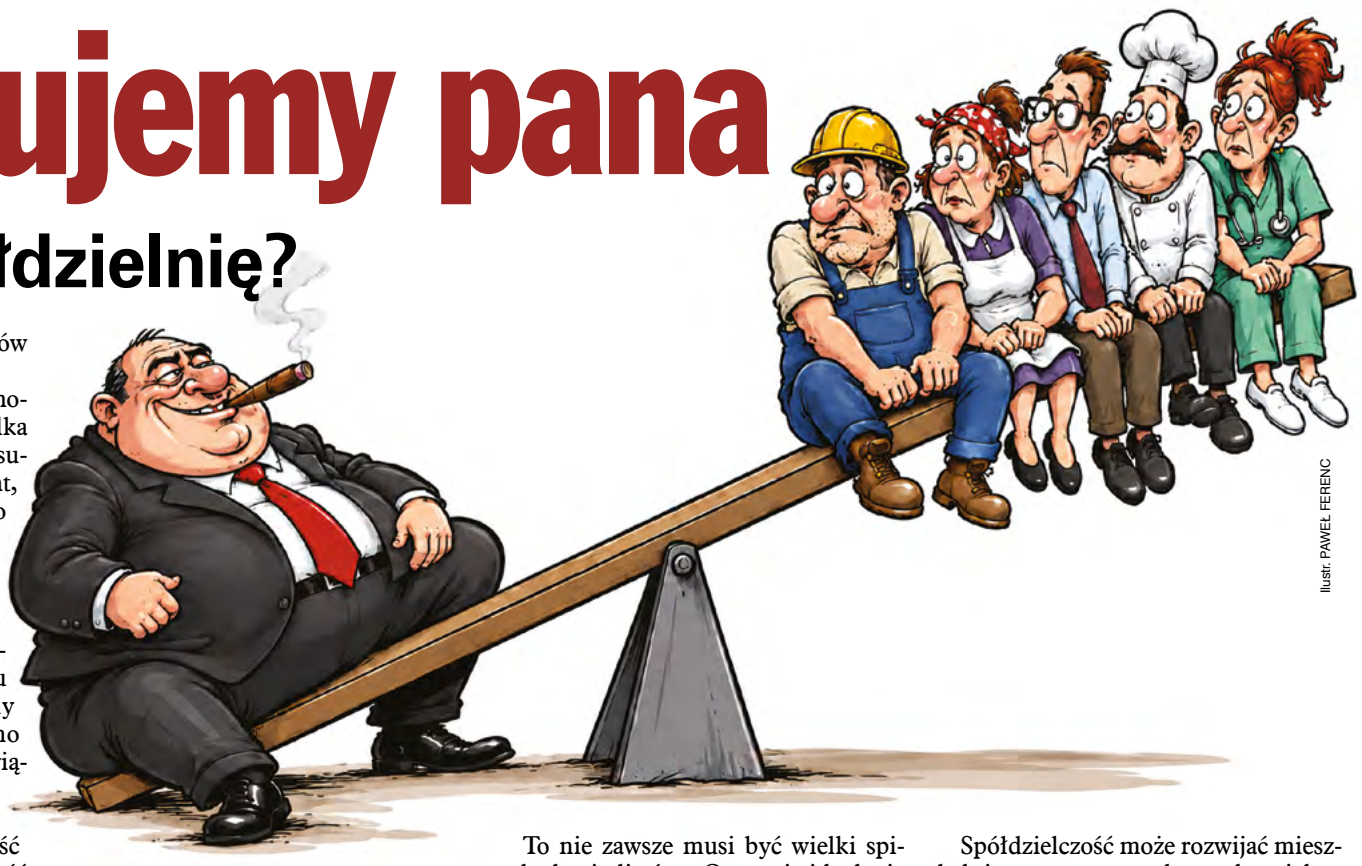

Ilust. PAWEŁ FERENC

Przez trzydzieści kilka lat wbijano nam do głowy, że istnieją w zasadzie tylko dwa sposoby prowadzenia gospodarki. Albo wszystkim rządzi państwo i partyjny sekretarz, albo prywatny właściciel i jego pieniądze. Albo komitet centralny, albo rada nadzorcza wybrana przez akcjonariuszy. Albo biurokrata, albo kapitalista. Jest jeszcze trzecia możliwość. Możemy rządzić sami. Nazywa się to spółdzielczością.

Fabryka bez fabrykanta

W demokracji politycznej rzecz wydaje się oczywista. Milioner ma jeden głos. Sprzątaczka ma jeden głos. Profesor ma jeden. Gdyby ktoś zaproponował, żeby za każde 100 tys. zł majątku dostawać dodatkową kartę wyborczą, uznalibyśmy go za wariata albo faszystę. Po czym rano idziemy do pracy i dokładnie taki system uznajemy za normalny.

W spółce kapitałowej władza wynika z własności kapitału. Masz więcej akcji czy udziałów – masz więcej głosów. Masz większość – rządzisz. Rządzisz – dbasz o swoje. Ludzie mogą być świetnie wykształceni, mogą przepracować w firmie 20 lat, mogą ją faktycznie tworzyć, ale ostatecznie decyduje ten, kto posiada.

Spółdzielnia odwraca tę logikę. Jeden człowiek – jeden głos. Nie milion złotych – tysiąc głosów. Nie prezes – dziesięć głosów. Walne zgromadzenie członków wybiera władze spółdzielni, może je kontrolować i odwoływać. Kapitał jest potrzebny, oczywiście. Bez pieniędzy nie kupi się maszyn, komputerów ani cegieł. Tyle że w spółdzielni pieniądz ma służyć ludziom, a nie ludzie kapitałowi. I już samo to wystarcza, żeby spółdzielczość była ustrojowo podejrzana.

W zwykłym przedsiębiorstwie pracownik sprzedaje swój czas i umiejętności właścicielowi. Firma zarabia, właściciel kapitału decyduje, co zrobić z nadwyżką. Może inwestować. Może wypłacić dywidendę. Może wyprowadzić produkcję do kraju, gdzie ludzie pracują taniej. Pracownik może najwyżej mieć nadzieję, że coś skapnie również jemu.

W spółdzielni pracowniczej podział na właściciela i siłę roboczą zostaje naruszony u samej podstawy. Pracownicy są współwłaścicielami. Wspólnie decydują, ile przeznaczyć na płace, ile na inwestycje, ile na rezerwy, a ile na rozwój. Nie oznacza to raju. Ludzie nadal mogą się kłócić, popełniać błędy i wybierać idiotów do zarządu. Demokracja nie chroni przed głupotą. Chroni natomiast przed czymś innym – przed uznawaniem cudzej władzy za naturalną. Nie musisz mieć pana. I chyba właśnie ta myśl jest dla kapitalizmu i wszelkich autorytaryzmów najbardziej nieprzyjemna.

Lubimy mówić, że żyjemy w demokracji. Przez kilka minut, raz na kilka lat, wydaje nam się, że jesteśmy suwerenem. Głosujemy na parlament, prezydenta, burmistrza. Następnego dnia przez osiem godzin wykonujemy polecenia w organizacji urządzonej według zasad, które z demokracją nie mają nic wspólnego. Nie wybieramy prezesa banku, sieci handlowej ani fabryki. Nie mamy głosu w sprawie podziału zysku. Możemy oczywiście zmienić pracę. Tak samo chłop pańszczyźniany mógłby rozwiązać swój problem, gdyby tylko pozwolono mu wybrać lepszego dziedzica. Kapitalizm deklaruje miłość do wolności, dopóki jest to wolność zawierania umów między stronami, z których jedna ma kapitał, a druga kredyt do zapłacenia. Spółdzielczość wprowadza demokrację tam, gdzie kapitalizm jej nie przewidział: do gospodarki.

Od smyczy do likwidacji

Paradoks polega na tym, że spółdzielczości nie znosi również państwowy autorytaryzm. Polska Rzeczpospolita Ludowa chętnie używała słowa „spółdzielnia". Jednak prawdziwa spółdzielnia jest z natury samorządna, a państwo autorytarne nie lubi niczego, co jest naprawdę samorządne. Od lat 50. spółdzielczość została w dużej mierze włączona w system centralnego planowania. Spółdzielnie mieszkaniowe, spożywców czy „Samopomoc Chłopska" miały wykonywać zadania wyznaczane z góry. Formalnie istniał samorząd, lecz autonomia była ograniczana przez aparat państwowy. To był szczególnie skuteczny sposób kompromitowania idei. Nie trzeba było likwidować spółdzielni. Wystarczyło zostawić szyld i zabrać treść.

Po kilku dziesięcioleciach Polak słyszał „spółdzielnia" i widział administratora osiedla oraz zebranie, na którym wszystko zostało już ustalone wcześniej. Autorytaryzm państwowy nie chciał obywateli samodzielnie gospodarujących. Chciał wykonawców planu.

Po 1989 r. mieliśmy odzyskać wolność. Spółdzielczość powinna więc rozkwitnąć. Stało się coś odwrotnego. Nowy porządek gospodarczy uznał za naturalne niemal wyłącznie przedsiębiorstwo kapitałowe. Idealnym bohaterem transformacji został właściciel. Człowiek, który gromadzi kapitał, kupuje, sprzedaje, zatrudnia i inwestuje. Zbiorowy właściciel-pracownik, demokratycznie zarządzający własnym przedsiębiorstwem, nie pasował do tego westernu.

Na początku lat 90. spółdzielnie dostały między innymi po głowie „popiwkiem" – czyli podatkiem od wzrostu wynagrodzeń. Jego ciężar sięgał 200 proc. wzrostu płac. Chcesz podnieść pracownikom wynagrodzenia? Zapłać dodatkową karę.

Świetny sposób budowania kapitalizmu: utrudnić działanie przedsiębiorstw, których właścicielami są sami pracownicy.

Ograniczono również możliwość zrzeszania się spółdzielni i tworzenia silnych wspólnych struktur. W zachodniej Europie sieciowanie kooperatyw jest jednym ze źródeł ich siły. W Polsce współpracę takich podmiotów potrafiono traktować niemal jak podejrzaną kartelizację. Kapitalizm najwyraźniej uwielbia koncentrację – pod warunkiem, że rodzi korporację.

Choroba spółdzielcza

Spółdzielnia jest niewygodna także dla współczesnego prawa, które często pisane jest tak, jakby istniały tylko spółki. Dobrym przykładem jest tzw. estoński CIT, czyli wymyślona w Estonii koncepcja podatku dochodowego od osób prawnych, która pozwala odroczyć opodatkowanie zysku, dopóki pozostaje on w przedsiębiorstwie i służy rozwojowi. Rozwiązanie stworzone po to, żeby firmy inwestowały. Tyle że polskie przepisy po prostu pominęły spółdzielnie.

To nie zawsze musi być wielki spisek kapitalistów. Czasami ideologia działa skuteczniej. Prawnik piszący ustawę wyobraża sobie przedsiębiorstwo – i widzi spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Bank ocenia klienta – i rozumie prezesa oraz udziałowców, ale demokracja właścicielska robi mu zwarcie w zwojach mózgowych i procedurach. Spółdzielnia staje się więc czymś egzotycznym tylko dlatego, że kapitalizm tak skutecznie wmówił nam, iż prywatna firma musi mieć prywatnego pana.

A jednak „choroby spółdzielczej" nie dało się uleczyć. Spółdzielczość – wbrew pogłoskom – nie chce umrzeć. Na świecie do spółdzielni należy ponad 1,2 mld ludzi – około 12 proc. mieszkańców planety. Spółdzielnie zapewniają pracę około 290 mln osób. 300 największych organizacji spółdzielczych osiąga łącznie około 2,4 bln dol. rocznego przychodu. Dla jasności: bilion w polskim systemie liczbowym to tysiąc miliardów. To nie jest gospodarcza sekta. To nie jest wspólnota pięciu brodatych hipsterów sprzedających ekologiczną pietruszkę. To potężny sektor gospodarki.

Najbardziej znany jest baskijski Mondragon. Zaczynał od szkoły zawodowej i niewielkiej działalności produkcyjnej, dziś tworzy rozbudowaną grupę setek podmiotów, zatrudnia ponad 70 tys. ludzi, ma własny uniwersytet i osiąga przychody liczone w miliardach euro. Jego firmy wspierają się wzajemnie, współpracują technologicznie, finansowo i organizacyjnie. Gdy przychodzi kryzys, pierwszym odruchem nie musi być zwolnienie kilku tysięcy ludzi, żeby poprawić kwartalny wykres dla akcjonariuszy.

W Brazylii Unimed wyrósł z małej kooperatywy lekarzy do sieci obejmującej dziesiątki tysięcy medyków i miliony pacjentów. W Indiach wielkie organizacje rolnicze pozwalają milionom producentów wspólnie kupować nawozy i omijać pośredników. W Holandii i Francji tradycja spółdzielcza jest obecna również w bankowości, a we Włoszech silne kooperatywy są częścią lokalnej gospodarki, szczególnie na północy kraju. Więc może problem nie polega na tym, że spółdzielczość nie działa. Może problem polega na tym, że działa i przez sam fakt istnienia pokazuje, że kapitalistyczny właściciel nie jest żadnym prawem natury.

Nieutopia

W Polsce nadal działa stary odruch: gdy ktoś mówi o przedsiębiorstwie należącym do pracowników albo konsumentów, natychmiast pojawia się uśmiech pobłażania. Utopia. Naiwność. Ludzie się pokłócą. Ktoś będzie musiał rządzić. Ciekawe, że nikt nie nazywa utopią systemu, w którym właściciel funduszu inwestycyjnego znajdujący się 1000 km od fabryki ma większe prawo decydowania o jej przyszłości niż 500 ludzi, którzy przepracowali w niej pół życia. To dopiero jest osobliwa konstrukcja.

Spółdzielczość nie obiecuje świata bez konfliktów. Obiecuje coś znacznie rozsądniejszego: że ludzie, których dotyczą decyzje, mogą mieć udział w ich podejmowaniu. To jest cała rewolucja.

Polska potrzebuje więcej demokracji. Także między ósmą a szesnastą

Spółdzielczość może rozwijać mieszkalnictwo, energetykę odnawialną, dziennikarstwo, przetwórstwo i skup żywności oraz handel. Może ratować przedsiębiorstwa poprzez wykupy pracownicze. Może zrzeszać freelancerów, informatyków, grafików, dziennikarzy, artystów i ludzi kultury.

Polska spółdzielczość ma zresztą własną, przedwojenną tradycję. Była też spółdzielczość dziennikarska. W latach 20. i 30. publicyści, redaktorzy i wydawcy zakładali spółdzielnie po to, by uniezależnić się od prywatnych właścicieli i partyjnych potentatów prasowych. Wspólnie wydawali niezależne pisma, a wpływy ze sprzedaży i reklam przeznaczali na pensje autorów i rozwój tytułu zamiast na zysk właściciela. Tworzyli też spółdzielnie mieszkaniowe, kasy zapomogowo-pożyczkowe, fundusze emerytalne, tanie stołówki i domy wypoczynkowe. Czyli robili dokładnie to, co dziś uznano by za ekstrawagancję: bronili niezależności słowa, budując najpierw materialną niezależność ludzi, którzy to słowo tworzą.

Spółdzielczość może tworzyć usługi, banki, przedsiębiorstwa społeczne i energetykę obywatelską. Nie zastąpi całej gospodarki. Nie musi. Wystarczy, że przestaniemy traktować ją jak skansen i zaczniemy traktować jak pełnoprawny element nowoczesnej ekonomii. Przede wszystkim jednak potrzebna jest zmiana wyobraźni.

W Polsce pojawiają się nowe formy spółdzielczości: przedsiębiorstwa społeczne, kooperatywy specjalistów, programistów, grafików czy twórców. Wspólna księgowość, obsługa podatków, ograniczenie ryzyka i większe bezpieczeństwo socjalne mogą być dla freelancera bardziej racjonalne niż samotne udawanie „jednoosobowej korporacji". Spółdzielnia socjalna może z kolei połączyć działalność gospodarczą z zatrudnianiem osób wypychanych z normalnego rynku pracy. Przykładem jest Browar Dalba z Pucka, zatrudniający osoby z niepełnosprawnościami i produkujący piwa rzemieślnicze. Kapitalizm chciał nas nauczyć, że przedsiębiorstwo bez kapitalisty jest utopią. Mondragon, Unimed i tysiące innych kooperatyw odpowiadają: jednak istniejemy i rośniemy.

I może właśnie dlatego warto przywrócić słowu „spółdzielnia" jego prawdziwe znaczenie. Nie administracja osiedla. Nie relikt PRL. Nie bieda-biznes dla tych, którzy nie dali rady zostać startupowcami. Wspólna własność. Wspólna odpowiedzialność. Wspólna władza. Bo skoro potrafimy uwierzyć, że ludzie są wystarczająco dojrzali, żeby wybierać rząd państwa, może wreszcie wypadałoby uwierzyć, że potrafią również rządzić własnym zakładem pracy.

Jeżeli neoliberalizm rzeczywiście jest w kryzysie, nie wystarczy zamienić jednych kapitalistów na innych ani dopisać słowa „społeczny" do tej samej gospodarki. Potrzebujemy miejsc, w których ludzie odzyskują realną władzę nad pracą, produkcją, usługami i pieniędzmi – nad sobą samymi.

Jedna osoba, jeden głos.

To zdanie jest tak demokratyczne, że aż dziwne, iż w gospodarce brzmi dziś jak radykalizm.

ANNA GRODZKA

---

zdążył strawić własną nadzieję albo po prostu wyzionął ducha, zwalniając miejsce następnemu nieszczęśnikowi. Prawdziwymi zwycięzcami są jednak lekarze: mają kalendarze wyprzedane na rok do przodu niczym gwiazdy rocka na światowej trasie. Żyć nie umierać, zwłaszcza że na to drugie w kolejce NFZ-u i tak trzeba swoje odstać.

▮ Andrzej Rozenek, mój dawny szef i zastępca Jerzego Urbana, który w „NIE" pracował przez lat kilkoro, został ekspertem w biurze bezpieczeństwa Orlenu. To efektowny awans: z opisywania skandali przeszedł do ich nadzorowania. Andrzeju, uważaj na siebie. Orlen to największy paśnik Rzeczypospolitej, gdzie pokusy są gołe, bezwstydne i wyjątkowo trudne do odparcia. Pamiętaj, że prokuratura ma pamięć znacznie lepszą niż wdzięczność polityczna. Nie daj się ubić na tym tłustym ugorze, bo szkoda by było, gdybyś z kontrolera stał się kolejnym tomem w aktach oskarżenia.

▮ Niejaki Hubert Moszka z Leszna rozesłał maile do urzędów i szkół, twierdząc, że jako agent organizacji MIDNIGHT trzyma zakładników i zaraz wszystkich wysadzi. Saperzy i antyterroryści szukali bomb, których nie było, oraz Moszki, który – jak się okazało – w ogóle nie istnieje. W dzisiejszych czasach wystarczy jeden mail od ducha, by nakarmić media sensacją. Nieistniejąca bomba to dla dziennikarza też pieniądz. Dziękujemy, panie Moszka.

▮ Pruszków, niegdyś duma polskiej przestępczości zorganizowanej, upadł tak nisko, że dziś straszy tam już tylko onanista z importu. 36-letni Azerbejdżanin postanowił zaprezentować swoje wdzięki na przystanku, przy okazji zaczepiając dziewczynki. Został natychmiast aresztowany. Azerbejdżanie, miejcie litość – jeśli już musicie to robić, to chociaż nie przy dzieciach i nie w tak marnym otoczeniu.

▮ W Zebrzydowej doszło do starcia tytanów: czternastolatek na motocyklu kontra trzynastolatek na hulajnodze. Obaj wylądowali w szpitalu, a policja sprawdza teraz, czy mieli uprawnienia. To prawdziwe szczęście, że w tej rzezi nie brał udziału żaden dorosły. Gdyby wjechał w nich pełnoletni kierowca, prokurator zacierałby ręce. Tymczasem dzieci w Polsce cieszą się najwspanialszym z przywilejów: mogą się wzajemnie okaleczać i utylizować pod osłoną braku odpowiedzialności karnej. Bycie gówniarzem to jedyna licencja na zabijanie bez ryzyka, że resztę młodości spędzi się w celi, zamiast na TikToku.

▮ Na warszawskiej Pradze 26-letni ułan w BMW dokonał brawurowego ataku na przystanek, śmietnik i hulajnogę. Infrastruktura poległa, kierowca i pasażer wyszli z tego bez szwanku. Sprawca był trzeźwy, co tylko pogarsza jego sytuację intelektualną. Dowiódł bowiem, że do całkowitego zgłupienia nie potrzebuje żadnych wspomagaczy. Prawa jazdy nie miał, bo mu je wcześniej zabrali, ale widać uznał, że brak dokumentu nie przeszkadza w posiadaniu ciężkiej nogi i lekkiego umysłu. Sąd sprawdzi teraz, czy BMW to marka samochodu, czy już jednostka chorobowa.

RJ

PS Prezentowane doniesienia to urobek z prasy regionalnej, w której prawda obiektywna zależy od lokalnego stężenia kadzidła lub poziomu wód gruntowych. Proszę traktować te wieści z ostrożną powagą, czyli mniej więcej tak, jakby opowiadał je wam pijany wujek na weselu.

eprasa.pl a6e25f4765

Życie w dobrobycie

Dzięki PKB można udowodnić, że kraj ma się znakomicie. Liczy się bowiem wszystko, co gospodarka wyprodukowała i wyświadczyła, następnie porównuje z tym, co było wcześniej, wychodzi procent i już wiadomo, czy należy się cieszyć. A cieszyć się należy, bo GUS policzył dokładniej i wyszło mu, że w drugim kwartale polski PKB wzrósł rok do roku nie o 3,8 proc., jak podawano we wstępnych szacunkach, lecz o 3,9 proc. Zaś rok wcześniej gospodarka rosła o 3,3 proc. Trochę słabiej wygląda konsumpcja. Spożycie ogółem wzrosło o 2,5 proc., podczas gdy w pierwszym kwartale zwiększało się o 3,9 proc. Za to inwestycje postanowiły zrobić statystykom przyjemność. Akumulacja brutto zwiększyła się aż o 9,3 proc. rok do roku, podczas gdy w pierwszym kwartale było to tylko 2,7 proc. Eksport miał dodatni wkład we wzrost PKB w wysokości 0,5 pkt. proc. Jeszcze bardziej imponująco wygląda – wedle państwowego GUS – przemysł, bo urósł o 6,5 proc. Handel i naprawy zanotowały wzrost o 4 proc. i dokładnie tyle samo osiągnął transport oraz gospodarka magazynowa. Budownictwo zwiększyło się o 3 proc., pozostałe usługi rynkowe o 3,1 proc., zaś administracja publiczna, obrona narodowa, obowiązkowe zabezpieczenia społeczne, edukacja, ochrona zdrowia i pomoc społeczna razem o 3,3 proc. Wszędzie zatem procenty są dodatnie i można byłoby już otwierać szampana, gdyby nie działalność finansowa i ubezpieczeniowa, gdzie wartość dodana spadła o 3 proc. Ktoś przecież w tej statystycznej krainie szczęśliwości musiał dostać minus, żeby tabelka nie wyglądała podejrzanie idealnie. Z danych GUS wyłania się zatem Polska absolutnego dobrostanu gospodarczego.

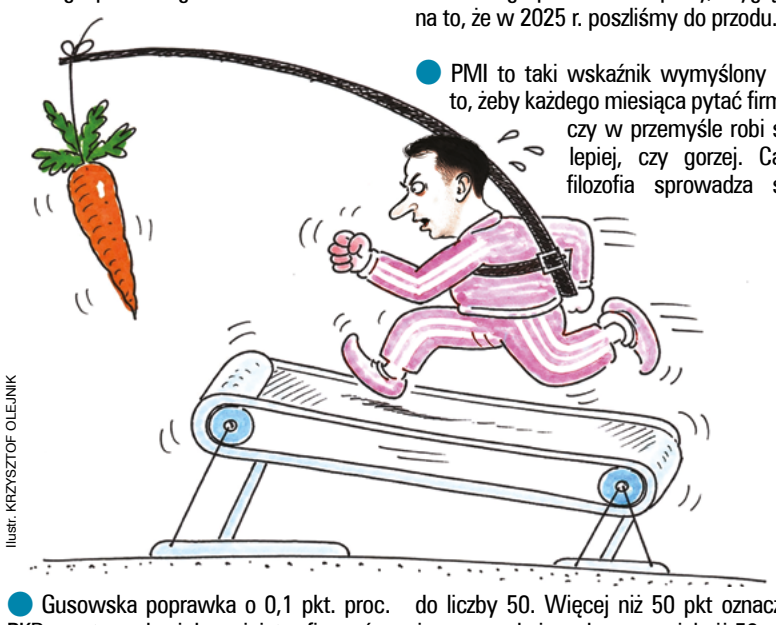

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gusowska poprawka o 0,1 pkt. proc. PKB wystarczyła, żeby minister finansów i gospodarki Andrzej Domański obwieścił, że „lider wzrostu w UE przyspiesza" oraz zapewnił, iż „wszystkie motory polskiej gospodarki pracują". PKO BP przewiduje więc, że w całym 2026 r. gospodarka urośnie o 3,5 proc., mBank obstawia 3,7 proc. i dopuszcza wynik jeszcze lepszy. Ekonomiści Pekao sądzą nawet, że inwestycje mogą osiągnąć dwucyfrowe tempo, nie wierzą jednak we wzrost całej gospodarki przekraczający 4 proc. Inflacja w sierpniu wyniosła 3,4 proc., choć ekonomiści przewidywali 3,1 proc., po wcześniejszych 3 proc. Na szczęście staniało jedzenie. Ceny żywności spadły w sierpniu o 0,7 proc. w porównaniu z lipcem i były o 0,9 proc. niższe niż rok wcześniej, co PKO BP uznał za kolejne pozytywne zaskoczenie. Dobrze jednak do tej radości się nie przywiązywać, bo bank przewiduje, że pod koniec 2026 r. inflacja dojdzie w okolice 4 proc.; mBank zakłada nawet, że pod koniec roku znajdzie się lekko powyżej 4 proc. Nieszczęściem kredytobiorców jest zatem to, że choć gospodarka nie chce się załamywać, inflacja nie zamierza pięknie zjeżdżać. Ale widocznie nie można mieć wszystkiego, nawet kiedy „wszystkie motory polskiej gospodarki pracują".

Dobrobyt wedle GUS dotyka nas mocno. Urząd policzył wszak, co Polki i Polacy jedli oraz pili w 2025 r., i porównał to z rokiem wcześniejszym. Wyszło mu, że statystyczny Polak zmienił się nie do poznania. Je więcej mięsa, jaj, zbóż, owoców i warzyw, pije więcej mleka, ale mniej piwa, wina, miodów pitnych, wódki, likierów i innych napojów wyskokowych. Najbardziej powszechną szczęśliwość widać w mięsie. W 2024 r. przeciętny mieszkaniec kraju zjadał go 78,4 kg rocznie, a rok później już 81,4 kg. Przybyły zatem równe 3 kg mięsiwa na głowę, czyli około 3,8 proc. Ba: statystyczny Polak zjadł również 156 jaj kurzych, podczas gdy rok wcześniej konsumował ich 152. Ilość ziarna czterech podstawowych zbóż w przeliczeniu na przetwory wyniosła w 2025 r. 114 kg na mieszkańca, czyli aż o 6 kg więcej niż rok wcześniej. Z dobrobytu wyleciały za to kartofle. W 2024 r. przeciętny mieszkaniec Polski zjadał 89 kg ziemniaków, a w 2025 r. już tylko 87 kg. Oberwało się też cukrowi, którego spożycie spadło z 42,6 do 41,6 kg. Prawdziwe cuda dzieją się za to przy owocach. Statystyczny mieszkaniec Polski zjadł ich w 2025 r. 54,7 kg, czyli aż o 9 kg więcej niż rok wcześniej. Wzrost wyniósł prawie 20 proc. i to już nie jest statystyczne drgnięcie. Warzywa również poszły w górę, choć tutaj trudno mówić o rewolucji. Ich spożycie wzrosło ze 107 do 108 kg na osobę. Jak zsumuje się 108 kg warzyw, 87 kg ziemniaków i 54,7 kg owoców, wychodzi prawie ćwierć tony roślinnej dobroci na człowieka. A gdy dorzuci się do tego 114 kg produktów zbożowych, można dojść do wniosku, że statystyczny Polak jest prawie roślinożercą. Gdy jednak żywności w wielu kategoriach przybywa, alkoholu ubywa wszędzie. W 2024 r. przeciętny mieszkaniec Polski wypijał 93 litry piwa, a rok później już 89,4 litra. Jeszcze większy – procentowo – odwrót nastąpił w przypadku wina i miodów pitnych. Ich spożycie spadło z 5,4 do 4,9 litra na mieszkańca, czyli o ponad 9 proc. Mocne trunki też dostały po głowie. Wódek, likierów i pozostałych napojów spirytusowych, liczonych w przeliczeniu na czysty alkohol, statystyczny Polak wypijał w 2024 r. 3,4 litra, a rok później 3,2 litra. Wszystkie alkoholowe kategorie znalazły się więc na minusie. Gdyby więc dobrobyt mierzyć zdolnością najedzonego obywatela do samodzielnego powrotu z imprezy, wygląda na to, że w 2025 r. poszliśmy do przodu.

PMI to taki wskaźnik wymyślony po to, żeby każdego miesiąca pytać firmy, czy w przemyśle robi się lepiej, czy gorzej. Cała filozofia sprowadza się do liczby 50. Więcej niż 50 pkt oznacza, że przemysł się rozkręca, mniej niż 50 pkt, że się zwija. W sierpniu wyszło z tego 48,3 pkt. Czyli nie dość, że jesteśmy pod kreską, to jeszcze zeszliśmy o 0,7 pkt niżej niż miesiąc wcześniej. Gdyby takie 48,3 pkt było wynikiem światowej przemysłowej zarazy, można byłoby machnąć ręką. Tyle że w 32 ważnych gospodarczo państwach świata wzrost aktywności przemysłowej wykazały aż 24, a spadek zaledwie osiem. Polska znalazła się oczywiście w tej drugiej grupie i na dodatek niemal na samym jej dnie. Niżej od nas były tylko: Turcja (48,1), Brazylia (46,3) oraz RPA (45,8 pkt). Nawet z Turcją jest jednak pewien problem, bo choć znalazła się 0,2 pkt pod nami, to jej wynik w ciągu miesiąca poprawił się o 0,4 pkt. Jeszcze ciekawiej wygląda to po spojrzeniu na kraje, z którymi zwykle lubimy się porównywać. Niemcy, o których gospodarczym upadku słyszymy regularnie od paru lat, miały PMI na poziomie 54,3 pkt – najwięcej od 51 miesięcy – a ich wskaźnik podskoczył w ciągu miesiąca aż o 2,1 pkt. Czesi mieli 54,1 pkt, Austriacy – 54,4, Francuzi – 51,1. Cała strefa euro: 52,7 pkt, czyli o 4,4 pkt więcej od nas. Nawet Węgrzy znaleźli się nad kreską z 51,3 pkt. Na czele całej stawki znalazła się Szwajcaria z wynikiem 57,1 pkt. W ciągu miesiąca wskaźnik Helwetów skoczył aż o 3,9 pkt. Jeśli spośród 32 ważnych gospodarek świata tylko trzy mają wynik gorszy od naszego, to być może warto dopuścić do siebie heretycką myśl, że pod warstwą optymistycznych wskaźników i jeszcze bardziej optymistycznych przemówień coś w polskiej gospodarce jednak trzeszczy.

TTJ

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Poradnik dla tych, którzy wątpią w słowa Tuska, że „Polska to najlepsze miejsce na ziemi do życia".

Patrzeć, jak wszystko zostaje w tyle

Jak masz dość propagandowych mediów, szczucia, wetowania, kłamstwa, debilizmów instytucji państwowych i idiotycznych przepisów, zastanów się, czy po prostu dać sobie siana z Polską.

Wziąć i umrzeć

Opuścić ojczyznę można na różne sposoby. Skorzystać choćby z dróg, wody czy powietrza. Najprościej jednak wziąć i umrzeć.

Umieranie w wypadku samolotowym jest mniej prawdopodobne niż wygrana w totolotka. Można za to skorzystać z wody i utonąć. Przeciętnie z Rzeczpospolitą żegna się w ten sposób parę setek jej obywateli. W 2025 r. utonęły 292 osoby, a w 2024 r. – 444. Prościej jest zginąć w wypadku drogowym. Tym sposobem w tamtym roku rozstało się z Polską 1651 osób, czyli o 245 mniej niż rok wcześniej. Najbardziej zdeterminowani popełniają samobójstwa. W zeszłym roku zrobiło tak 4776 osób, a dwa lata temu 4845.

Generalnie za pomocą zgonu w roku 2025 Polskę opuściło ok. 406 tys. osób. Spadek liczby nieboszczyków i nieboszczek w stosunku do 2024 r. wyniósł ok. 3 tys.

Głównym powodem opuszczania kraju poprzez śmierć była choroba. Odpowiadała ona za ponad 95 proc. zejść śmiertelnych. Największy udział miały tu choroby układu krążenia – 37 proc. wszystkich zgonów i nowotwory – 27 proc. Wypadki, takie i siakie, morderstwa i samobójstwa to w stosunku do zdrowia margines.

Za zdrowie odpowiada państwo, prowadząc politykę finansową wspierającą służbę zdrowia. Państwo polskie od dziesięcioleci robi reformy mające powodować, że śmiertelny wyciek obywateli będzie mniejszy. Na opowiadaniu się nie kończy; polskie wydatki na publiczną i prywatną ochronę zdrowia – czyli ok 8,1 proc. PKB – są w Unii Europejskiej w środku stawki. Ale dla rządu największym problemem nie są kolejki i długi szpitali, ale zarobki lekarzy. Generalnie jednak ubytek obywateli z powodu chorób nie wywołuje wśród rządzących większych emocji.

Zupełnie inaczej niż w przypadku ofiar wypadków drogowych. Te spadają od lat i dziś mamy jedną piątą tego co jeszcze 20 lat temu. Oczywiście jest to zasługa paru tysięcy nowych kilometrów autostrad i ekspresówek. Resort sprawiedliwości i MSW jednak uważają, że to dzięki nim nieboszczyków na drogach jest mniej, a wkrótce ich liczba spadnie poniżej zera. Główną ministerialną metodą na powstrzymanie odpływu Polaków drogami jest wprowadzanie dla kierowców takich przepisów, które skończą się dla nich wieloletnim więzieniem lub bankructwem.

Aktualna władza – i wszystkie poprzednie – wierzą wszak w to, że jak wymyśli się wysokie kary, to przestępczość spadnie. Wymyślono zatem dożywotnie odsiadki bez szansy na wyjście, popodnoszono poprzeczki wyroków za zabójstwa – z niekoniecznie oczywistym efektem. W 2020 r. Polska straciła w wyniku zabójstwa 656 obywateli. W 2023 r. – 555, ale od kiedy mamy nową władzę bez represyjnego Ziobry, jest nieco lepiej, w 2024 r. były 503 zabójstwa, a w zeszłym roku – 505.

Inna sprawa, że ilość czasu telewizyjnego poświęcanego sprawom zabójstw i wypadków drogowych jest większa niż opowieści o wydatkach budżetu na służbę zdrowia. Ale dzięki temu coś, co nie stanowi nawet 1 proc. przyczyn śmierci, urasta do skali klęski narodowej.

Urząd ds. samobójczości

Gdyby jednak zsumować zabitych na drogach, ofiary morderstw i nawet topielców – to i tak do liczby ofiar samobójstw będzie brakowało połowy.

O wsadzaniu do więzień niedoszłych samobójców władza i media się jednak się nie wypowiadają.

Jednak zaprzyjaźnieni z władzą PiS ludzie dostrzegli w 2020 r. swoją szansę. Parę enuncjacji prasowych o samobójstwach wystarczyło, by przestraszyć Morawieckiego. Żeby zatem zamknąć usta wykazującym, że kraju tak powszechnej szczęśliwości samobójstw być nie powinno, w kasie Narodowego Programu Zdrowia znalazły się miliony na utworzenie Biura ds. Zapobiegania Samobójstwom.

Pieniędzmi zaopiekował się od razu zespół ekspertów, który opracowywał „zalecenia postępowania wobec osób zagrożonych samobójstwem". Okazało się bowiem, że istnieją grupy ryzyka zrobieniem sobie kuku. Do tych grup eksperci usiłowali dotrzeć.

Głównie za pośrednictwem osób duchownych – jak mówili – dzięki czemu wiadomo było,

kto został głównym beneficjentem zwalczania samobójczości i dlaczego był to Kościół katolicki. Upewniały w tym dokumenty produkowane przez biuro dotyczące sposobów „wczesnego wykrywania ryzyka zachowań samobójczych w konkretnych społecznościach".

Już parę lat temu kilku psychiatrów spytanych przeze mnie, czy samobójstwo jest chorobą społeczną, wybuchło śmiechem i kazało napisać o tym, co PiS zrobiło z kasą, która przez całe lata szła do organizacji pozarządowych prowadzących zapobiegające samobójczości telefony zaufania. No dobrze, ale biuro zaplanowano na lata 2021–2025. Aktualna władza więc je przejęła, co jest zrozumiałe, bo to w końcu nieco etatów, na których można obsadzić swoich. Ale rok 2025 się skończył i wraz nim biuro powinno zrobić to samo. Gdzie tam jednak, biuro żyje i samobójczość jak zwalczało, tak zwalcza.

Repatrianci kapitalni

Opuścić Polskę można nie tylko wskutek śmierci. Można być żywym – wtedy zasłuży się na miano emigranta. Od kilku lat jest to dla władzy słowo tabu. Z kraju tak rozkwitającego nikt przy zdrowych zmysłach przecież nie emigruje. Wręcz przeciwnie – do Polski Morawieckiego, a tym bardziej Tuska, się z emigracji wraca.

Zarówno jeden, jak i drugi przypominali nam o tym zresztą mniej więcej co pół roku. Na czym opierali twierdzenia, że walą do nas stada tych, którzy wcześniej wyjechali, nie wiadomo.

Ostatnie dane GUS za rok 2024 mówią, że do Polski na stałe wróciło 19,5 tys. osób, które wcześniej mieszkały za granicą – to o 30 proc. więcej niż rok wcześniej. Ale co do tych wartości, sam GUS twierdzi, że są to tylko nader ogólne szacunki. Z badań sondażowych wychodzi, że co roku wyjeżdża ponad 200 tys. naszych obywateli. Wraca zaś 100, może 150 tys. Nikt tego teraz nie jest w stanie ogarnąć. Wiadomo na 100 proc., że za cholerę nie ma co liczyć na powrót 2,5 mln Polaków i Polek z emigracji lat 2004–2007.

Oczywiście szlag trafił niegdysiejszy rządowy program PiS o nazwie „Powroty". Miliony na niego wydane na pewno jednak znalazły się w kieszeniach tych, którym ta kasa się należała.

Potem w ramach Polskiego Ładu stworzono program, robiony przez nowych ludzi, którzy się dotąd nie obłowili. Nazywał się „Program Repatriacji Kapitału" i polegał na tym, że jak ktoś pracował za granicą więcej niż trzy lata i chciał wrócić, to dostawał „ulgę na powrót" sprowadzającą się do tego, że przez kilka lat taka osoba będzie płaciła mniejsze podatki.

Jak pokazują dane Ministerstwa Finansów, w 2022 r. z ulg wynikających z programu skorzystało 9353 osoby – suma odliczeń sięgnęła 393 mln zł. Rok później już 18,1 tys. osób – odliczyli 920 mln zł. 2024 r. był pod tym względem rekordowy – po ulgę dla eksemigrantów sięgnęło 26,7 tys. osób, a suma odliczeń przekroczyła 1,5 mld zł. W sumie w ciągu trzech lat nieopodatkowany dochód w ramach ulgi wyniósł 2,882 mld zł – co daje roczną średnią w wysokości 54 tys. zł na beneficjenta. Program ten jest przez aktualną władzę – jak widać – kontynuowany. I nic to, że fachowcy twierdzą, że to wyrzucanie pieniędzy przez okno, bo powodem wracania nie jest ulga, ale lepsza sytuacja gospodarcza, bezpieczeństwo czy rodzina, ale rząd Tuska przywiązał się szczerze do czegoś wymyślonego za czasów Morawieckiego.

I choćby nawet z tego powodu ktoś, komu w Polsce jest źle, mimo wszystko nie powinien umierać – ale spadać stąd, jak najbardziej.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl a6e25f4765

Karaluchy oblazły Modiego

Bunt młodych w Indiach

Niektórzy młodzi bezrobotni są jak karaluchy i pasożyty – orzekł w maju tego roku prezes indyjskiego Sądu Najwyższego Surya Kant. 30-letni Hindus Abhijeet Dipke, który właśnie wtedy był w Stanach Zjednoczonych, szukając roboty, przyjął to określenie z dobrodziejstwem inwentarza, organizując ruch Karaluchów. Szybko stał się on głosem pokolenia młodych mieszkańców Indii, pozbawionych perspektyw i czujących, że nacjonalistyczny rząd Narendry Modiego robi ich w chuja.

Stracone pokolenie

Dla milionów Hindusów – jak i Polaków – zostanie lekarzem jest realnym sposobem na awans społeczny i zapewnienie sobie godnego życia. Na początku maja br. 2 mln studentów były zdruzgotane, gdy odwołano kluczowy ogólnokrajowy egzamin wstępny na studia medyczne po wycieku treści testu. Jest tajemnicą poliszynela, że gangsterzy od lat handlują drukami egzaminacyjnymi, pozyskanymi od skorumpowanych i nisko opłacanych urzędników.

Środki przekazu donosiły, że kilkanaście osób nie wytrzymało napięcia i skutecznie targnęło się na życie w obliczu konieczności ponownego przystąpienia do stresującego egzaminu. Tym bardziej że po raz kolejny w ostatnich latach odwołano egzamin lekarski. Dodajmy, że w Indiach notorycznie zmusza się dzieci do nauki nawet po 12 i więcej godzin dziennie, a o ich przyszłości decyduje jeden trzygodzinny egzamin.

Od 6 czerwca Karaluchy i ich zwolennicy obozują w Jantar Mantar, obserwatorium astronomicznym z XVIII w., popularnym miejscu protestów w Delhi. Wspierają ich liczni ludzie, często trzymający się z daleka od polityki, ale rozumiejący postulaty młodych. Rząd Modiego przyjął strategię ignorowania protestu.

Londyński liberalny dziennik „Guardian" przytacza wypowiedź rzecznika Karaluchów Ashutoshy Ranki, który pytał retorycznie: „Dlaczego nie chcą z nami rozmawiać? Czy nie wiedzą, że są sługami tego kraju i powinni odpowiadać przed obywatelami?".

Podkreślmy, że Indie są krajem, w którym 30 proc. mieszkańców ma między 15. a 29. rokiem życia. To jakieś 450 mln osób! Często całe rodziny składają się na studia dziecka, a wśród absolwentów odnotowuje się endemiczne bezrobocie. Zatrudnieni w sektorze informatycznym, dającym miliony stosunkowo dobrze płatnych i pewnych miejsc pracy – często przeniesionych z Zachodu, a ostatnio m.in. z Polski – obawiają się hekatomby spowodowanej wdrożeniem sztucznej inteligencji. Powiedzieć, że nastroje są minorowe, to nic nie powiedzieć…

Rozpaczliwy protest

Można przypuszczać, że władze indyjskie kontynuowałyby strusią politykę chowania głowy w piasek, gdyby Karaluchy poprzestały na spokojnym proteście w Jantar Mantar. Stało się jednak inaczej.

28 czerwca 60-letni Sonam Wangchuk rozpoczął strajk głodowy, solidaryzując się z Karaluchami. Dipke górnolotnie stwierdził, że swym poświęceniem „obudził on sumienie całego narodu". Wangchuk to postać dużego formatu, inżynier – wynalazca unikalnej metody magazynowania wody w sztucznych lodowcach, obrońca przyrody i rzecznik zmian w edukacji, który swoje za Modiego już poniekąd odsiedział: w zeszłym roku trafił do więzienia pod zarzutem podżegania do antyrządowych protestów.

Przez 26 dni głodówki szczupły już uprzednio Wangchuk schudł kolejne 11 kilogramów. Jego heroiczna postawa dała wiatr w żagle przygasającemu już protestowi. Tym bardziej że kiedyś ekolog wspierał BJP, lecz z czasem doszedł do wniosku, że władze zawiodły zwykłych ludzi z jego rodzinnego himalajskiego Ladakhu.

Chcąc załagodzić nastroje, 25 lipca minister edukacji Dharmendra Pradhan podał się do dymisji. To znaczące, choć głównie w sferze symboliki, zwycięstwo ruchu protestu młodych.

Liderzy Karaluchów poszli za ciosem i w zeszłym miesiącu wezwali swoich zwolenników do odwiedzenia szkół, w których się uczyli, aby sprawdzić warunki, jakie w nich panują. A jako iż szkolnictwo jest skrajnie niedofinansowane, a część placówek na wpół zrujnowana, władze – jak to się mówi – dostały w miękkie.

13 sierpnia Abdul Hafeez powrócił do szkoły podstawowej, do której kiedyś uczęszczał, w Karisundzie, w stanie Bengal Zachodni. Jak donosiła stacja Al-Jazeera, parę godzin po wizycie Hafeeza – wedle relacji mężczyzny – lokalni działacze hinduskiej nacjonalistycznej partii Modiego Bharatiya Janata Party (BJP) pojawili się w jego domu i zaatakowali jego oraz jego ojca, Mohammada Mafika. Dwa dni później 51-letni ojciec Hafeeza zmarł w wyniku odniesionych obrażeń.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Szef władz stanu – wierny członek partii rządzącej – stwierdził, że zabójstwa dokonali „przestępcy bez powiązań z BJP". Nikogo to nie zdziwiło, bo nie pierwszy raz zbiry na usługach władzy dopuszczały się zbrodni politycznych.

Hafeez zapowiedział, że nie tylko będzie domagał się pociągnięcia sprawców śmierci ojca do odpowiedzialności, lecz nie zaprzestanie walki o lepszą edukację w Indiach.

Teraz Polska!

Trzeba przyznać, że indyjskie Karaluchy mają rozmach godny pozazdroszczenia. I właśnie zazdrość mnie ogarnia, gdy spojrzę na polskich młodziaków. Czekających na śmierć rodziców, a przynajmniej dziadków, aby odziedziczyć dach nad głową. Mających niby na każdym stopniu nauczania edukację publiczną, lecz często marnej jakości. Atakowanych zewsząd ogłupiającą reklamą, namawiającą ich do wydawania pieniędzy, których nie mają, na rzeczy, których nie potrzebują, aby wywrzeć wrażenie na ludziach, których zdanie ich nie obchodzi.

Wydaje się, że młodzi ludzie mają się przeciwko czemu buntować, lecz nawet gdy wychodzą masowo na ulice, aby powiedzieć, że coś ich wkurwia – jak w przypadku Strajku Kobiet – nie mogą liczyć na to, że ich słuszne postulaty zostaną spełnione. Rodzi to konformizm i zniechęcenie do działań zbiorowych, a tylko wspólnie można osiągnąć jakiś cel, który wykracza poza czubek naszego nosa.

Żyjemy w czasach masowej, a może i przymusowej, indywidualizacji, gdy działania kolektywne jawią się jako nieatrakcyjne, a może nawet absurdalne. Jednak dzielne indyjskie Karaluchy pokazują, że w jedności siła, a zmiany na lepsze zawsze są możliwe, choć droga do nich – jak mawiał Karol Marks o miłości – nigdy nie jest usłana różami. W Indiach jest raczej usłana razami zadawanymi przez siepaczy władzy. Niemniej jednak kropla nie drąży skały siłą, lecz uporczywością spadania.

Karaluchy wszystkich krajów – młode i stare – łączcie się!

KAT

Pomarańczowy gołąbek pokoju

Ameryka kontra świat wczoraj i dziś

Przywódca Wolnego Świata – obrażony na Kanadę, która do innych krzywd dorzuciła zniewagę nazywania jeziora Ontario jeziorem Ontario – powiesił w swoich social mediach wideo z atakiem gęsi. Wygenerowane przez AI gęsi są co prawda kanadyjskie, ale żółte tupeciki na głowach mają Trumpowskie, a broń w rękach (tak: w rękach) – amerykańską: karabiny M16. Z tymi karabinami maszerują równymi szeregami brzegiem jeziora – przemianowanego przez Trumpa na Lake America – żeby bronić go przed (jak można zgadnąć) Kanadyjczykami, którzy upierają się przy obowiązującej od 400 lat nazwie, pochodzącej z języka plemienia Wendatów. Na koniec filmiku gęsi triumfalnie strzelają w powietrze. Wideo jest groteskowe, jak wszystko, co Trump robi ostatnimi czasy – co nieco przysłania fakt, iż oto prezydent USA grozi sąsiadowi i najbliższemu sojusznikowi USA na kontynencie ostrzałem z karabinów.

Stany Zjednoczone Ameryki są jedynym krajem na świecie, którego czterej przywódcy uhonorowani zostali Pokojową Nagrodą Nobla. To Theodore Roosevelt (1901–1909), który otrzymał ją w 1909 r. na zakończenie swojej drugiej kadencji prezydenckiej; Thomas Woodrow Wilson (1913–1921), laureat z roku 1919; Jimmy Carter (1977–1981) nagrodzony w roku 2002, a więc długo po zakończeniu rządów; i wreszcie Barack Obama (2009–2017). Trzej pierwsi prezydenci otrzymali to zaszczytne wyróżnienie za konkretne osiągnięcia: Roosevelt za mediacje w wojnie rosyjsko-japońskiej, Wilson za Ligę Narodów jako główny architekt pokoju po I wojnie światowej, Carter za swoje wysiłki na rzecz pokojowego rozwiązywania konfliktów międzynarodowych, za popieranie demokracji i praw człowieka. Barack Obama natomiast otrzymał pokojowego Nobla zaledwie po kilku miesiącach sprawowania urzędu, jak przyznaje Komitet Noblowski, za dobre intencje; za stworzenie klimatu, który służy współpracy międzynarodowej. Domniemywać by można, że był to też swoisty gest polityczny Komitetu Noblowskiego wobec pierwszego czarnoskórego prezydenta USA.

Tymczasem

od zakończenia II wojny światowej nie było ani jednego roku kalendarzowego, w którym Stany Zjednoczone nie prowadziłyby aktywnych operacji wojskowych w jakimś miejscu na świecie:

najpierw z powodu zimnej wojny i walki z komunizmem, potem pod pretekstem „wojny z terroryzmem", obecnie w ramach rywalizacji między mocarstwami. Przed ostatnie 80 lat USA niemal nieprzerwanie fundowały wojny, interwencje lub bombardowania kilkudziesięciu krajom na całym globie.

Poczynając od Korei, przez Wietnam aż po konflikty na Bliskim Wschodzie i w Azji w XXI w. – USA co kilka lat prowadziły bądź wspierały różnorakie działania bojowe. Nawet w okresach pozornego spokoju obok oficjalnych wojen regularnych armia lub tajne służby USA brały udział w przeróżnych operacjach specjalnych w Ameryce Łacińskiej, Afryce czy Azji.

Przypomnijmy kilka najważniejszych

Wojna w Korei trwała od 25 czerwca 1950 do 27 lipca 1953 r. Był to konflikt zbrojny między komunistyczną Koreą Północną wspieraną przez Chiny i ZSRR a Koreą Południową, którą wspierały siły ONZ pod dowództwem USA. Wojna zakończyła się rozejmem w granicznej wiosce Panmundżom, a podział półwyspu wzdłuż 38. równoleżnika trwa do dziś. Pat!

Wojna w Wietnamie trwała od 1955 do 1975 r. Był to konflikt zbrojny w Azji Południowo-Wschodniej, w którym komunistyczny Wietnam Północny wspierany przez ZSRR i Chiny walczył z Wietnamem Południowym wspieranym głównie przez Stany Zjednoczone. Wojna zakończyła się przegraną południa, upadkiem Sajgonu i zjednoczeniem kraju. Klęska!

Wojna w Laosie i Kambodży to lata 1950–1975. Były one bezpośrednio powiązane z wojną w Wietnamie – bo to przez Kambodżę i Laos szły szlaki zaopatrzeniowe pomiędzy północnym i południowym Wietnamem. Amerykanie postanowili przerwać tę drogę zwaną Szlakiem Ho Chi Minha. Laos i Kambodża stały się terenem krwawych konfliktów domowych oraz tajnych operacji wojskowych USA. W czasie tej długotrwałej, pełnoskalowej wojny w Indochinach Amerykanie na sam tylko Laos dokonali 580 tys. nalotów, podczas których zrzucono 270 mln bomb – ponad 2 mln ton.

Konflikt zbrojny między USA a Irakiem miał dwie odsłony: I wojnę w Zatoce Perskiej (1990–1991) oraz II wojnę w Zatoce Perskiej, czyli inwazję z 2003 r. i późniejszą okupację, podjętą pod pretekstem posiadania broni masowego rażenia przez reżim Saddama Husajna. Choć w wyniku amerykańskiej inwazji i wywołanej przez nich wojny domowej zginęło 600 tys. Irakijczyków – demokracji w stylu amerykańskim nie udało się zbudować do dziś. Klęska!

Klęska tym większa, że również moralna; bo w 2005 r. prezydent George W. Bush przyznał, że informacje o posiadaniu przez reżim Husajna broni chemicznej – bezpośredniego powodu inwazji – były nieprawdziwe.

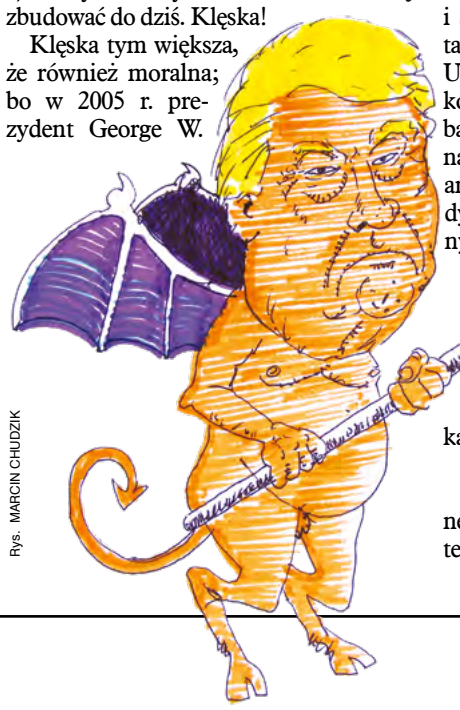

Rys. MARCIN CHUDZIK

Dwudziestoletnia wojna z Afganistanem to konsekwencja zamachu na WTC z 11 września 2001 r. i odmowy wydania Osamy bin Ladena przez rządzących w Kabulu talibów.

Wspomnieć trzeba, że w operacji militarnej USA uczestniczyło ponad 33 tys. polskich żołnierzy – a 43 z nich i jeden pracownik cywilny poległo na obcej ziemi. Skutkiem wycofania wojsk USA i NATO była błyskawiczna ofensywa talibów, upadek rządu w Kabulu i powrót talibów do władzy. Klęska!

Oddzielna sprawa to kwestia moralnej i prawnej oceny zabójstwa Osamy bin Ladena. Choć bandyta i terrorysta – to nigdy jednak nie został skazany przez żaden sąd, nawet w procesie zaocznym, a laureat Pokojowej Nagrody Nobla Barack Obama jego egzekucję oglądał sobie (z małymi przerwami technicznymi) w telewizji w Pokoju Sytuacyjnym Białego Domu.

Dalsze przykłady walki o pokój i demokrację specjalnych oddziałów The United States Marine Corps oraz innych sił specjalnych US można by mnożyć w nieskończoność. To Syria – w której od 2014 do 2026 r. trwały naloty i operacje lądowe przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu. Jemen i Pakistan, które w latach 2000–2020 regularnie atakowano z użyciem dronów i operacji antyterrorystycznych. Iran, Liban, Kuba. Grenada, Panama, Gwatemala, Haiti, Bośnia i Hercegowina, Libia i Somalia… Także serbskie Kosowo. To tam po nalotach, w czerwcu 1999 r. siły USA zajęły 400 hektarów ziemi rolnej koło Uroszewaca i rozpoczęły budowę bazy Camp Bondsteel. Z miasteczka namiotowego powstała baza dla 7 tys. amerykańskich żołnierzy. Ponad 300 budynków, 25 km dróg, 14 km wałów ziemnych i zapór betonowych. Powstałą bazę zabezpieczono 84 km drutu żyletkowego i 11 wieżami strażniczymi – wszystko po to, żeby od blisko 30 lat bronić rdzennych mieszkańców przed rdzennymi mieszkańcami regionu.

Od początku tego roku swoje gniewne oblicze ukazuje światu kolejny pretendent do Pokojowej Nagrody Nobla, Donald Trump. 3 stycznia, posługując się absurdalnym pretekstem nieistniejącego kartelu narkotykowego Cartel de los Soles, zaatakował Wenezuelę i uprowadził jej prezydenta Nicolása Maduro. Dla całego świata był to wyraźny znak, że – podobnie jak w przypadku inwazji na Irak – Amerykanie dążą do przejęcia ogromnych zasobów ropy naftowej i gazu ziemnego, do których nie mają prawa. Sam zresztą Trump przestał udawać, że chodziło o cokolwiek innego – np. handel narkotykami. Pod koniec lipca prezydent z dumą powiadomił Amerykanów, że od porwania Maduro USA uzyskały ze sprzedaży wenezuelskiej ropy ponad 13 mld dol. Na oficjalnej stronie rządu w Caracas znajduje się natomiast rejestr wpływów za ropę, w której sprzedaży mają jakoby „pośredniczyć" Amerykanie. Jest w nim tylko jeden wpis: przelew na 300 mln dolków z 17 marca. To 2 proc. wartości ropy ukradzionej Wenezueli przez Amerykę.

Niespełna dwa miesiące po napaści na Wenezuelę Trump odpowiedział na zew Binjamina Netanjahu i bez żadnego planu i odpowiedniego potencjału militarnego zaatakował Iran. Właśnie minęło pół roku tej wojny, która – według zapowiedzi Trumpa – miała potrwać 4–5 tygodni. Obejmuje ona zmasowane bombardowania infrastruktury strategicznej i nuklearnej, blokadę cieśniny Ormuz, przez którą przepływało 20–30 proc. światowego transportu ropy. Odwetowe działania Teheranu skierowane są w cele w Izraelu i w bazy USA w regionie Zatoki Perskiej. Wobec braku postępów na polu bitwy Trump wykazał postęp na mapie, zamieszczając na swoim Truth Social grafikę, na której cieśnina Ormuz opisana była jako „nowe terytorium USA". Zachęcony tym sukcesem, w przemówieniu poświęconym działaniom amerykańskich sił zbrojnych w Wenezueli i przeciwko Iranowi, Trump zapowiedział, że następna będzie Kuba.

Jakąś dziwną niechęcią Komitet Noblowski darzy jednak Donalda Trumpa, a może to rodzaj swoistej odmiany „rasizmu", że czarnemu prezydentowi Nagrodę Pokojową przyznali jakoby na zachętę, a pomarańczowemu dać nie chcą, chociaż tak się bidula stara.

TADEUSZ GAWLIK
gawlik.tadeusz@o2.pl

eprasa.pl a6e25f4765

Grzywna świętego nigdy

Kościół właśnie wprowadził instytucję kary pro forma.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kościół katolicki w Polsce postanowił pokazać, że z przestępcami kanonicznymi nie będzie się cackał. Od 1 marca duchowny, a nawet świecki pełniący funkcję kościelną, może dostać po kieszeni. Najniższa grzywna wynosi 2403 zł, najwyższa 96 120 zł. Można też pozbawić delikwenta części albo nawet całości kościelnego wynagrodzenia. Wszystko zostało policzone, zadekretowane, zatwierdzone, promulgowane i ogłoszone. Jest tylko jeden drobiazg. Po pół roku obowiązywania przepisów nie sposób znaleźć publicznie ujawnionego przypadku, żeby którejś z tych strasznych kar rzeczywiście użyto.

Kara bosko teoretyczna

Kościół nie wpadł na pomysł finansowego trzepania swoich ludzi dopiero teraz. Takie sankcje były już w Kodeksie prawa kanonicznego z 1917 r. Potem z niego zniknęły, aż papież Bergoglio w 2021 r. przeprowadził reformę kościelnego prawa karnego i kary finansowe przywrócił. Polski episkopat musiał wiele lat deliberować, aby przełożyć ogólnoświatowe prawo na nasze realia.

Konferencja Episkopatu Polski zajęła się sprawą podczas 402. Zebrania Plenarnego w Gdańsku 14 października 2025 r. Ustalono wtedy szczegółowe zasady stosowania kar. 26 stycznia 2026 r. dekret dostał watykańskie recognitio Dykasterii ds. Biskupów. 26 lutego jego wejście w życie ogłosił Episkopat, a 1 marca zaczęła się epoka kościelnej odpowiedzialności finansowej.

Media obwieszczały gromko przed startem regulacji, że „od 1 marca w Kościele katolickim w Polsce będzie można nakładać kary finansowe na duchownych oraz osoby świeckie pełniące funkcje kościelne". Reforma przewidziała wszak zarówno grzywnę, jak i możliwość pozbawienia części albo całości wynagrodzenia kościelnego.

Żeby biskup nie musiał przed każdym wyrokiem pytać Ducha Świętego, ile konkretnie wyjąć skazanemu z portfela, wymyślono taryfikator uzależniony od ustawowej płacy minimalnej. Najniższa grzywna to połowa minimalnego miesięcznego wynagrodzenia brutto. Najwyższa – jego dwudziestokrotność.

I nie są to kwoty zamrożone. Wysokość sankcji odnosi się do minimalnego wynagrodzenia obowiązującego w dniu wymierzenia kary. Gdy państwo podniesie najniższą pensję, bez jednego dodatkowego objawienia wzrośnie również finansowa dolegliwość kościelna. Episkopat połączył więc prawo kanoniczne z polską płacą minimalną równie skutecznie, jak przedsiębiorcy łączą z nią narzekanie na koszty pracy.

Portfel pokutny

Nie każdy jednak grzech wystarczy, żeby dostać kościelną karę. W grę mogą wchodzić m.in. przestępstwa przeciw wierze, nadużycie władzy, nieposłuszeństwo wobec władzy kościelnej, naruszenie tajemnicy papieskiej, niezawiadomienie o przestępstwie, sprzeniewierzenie majątku kościelnego czy łapownictwo.

Czyli zestaw nader poważny. Nie ma mowy o grzywnie za opuszczenie niedzielnej mszy, przedmałżeński seks czy zjedzenie schabowego w niewłaściwy piątek. Trzeba zasłużyć solidniej.

Sama grzywna jest tzw. karą ekspiacyjną. Ukarany ma odczuć, że zrobił źle, poprawić się, naprawić naruszoną sprawiedliwość oraz zgorszenie. Z punktu widzenia finansowego najciekawsze jest jednak to, że pieniądze nie muszą trafiać do osoby, której przestępca wyrządził krzywdę. Organ wymierzający sankcję wskazuje podmiot kościelny, na którego rzecz ukarany ma wpłacić pieniądze. Czyli organ nakładający karę określa, która instytucja kościelna ma dostać kasę, bo to są właśnie te przewidziane prawem kanonicznym kościelne cele.

Druga sankcja jest jeszcze ciekawsza. Kościół może zabrać skazanemu część albo całość wynagrodzenia kościelnego. Nie może jednak zostawić go bez środków do życia. Dekret mówi, że kwota pozostająca ukaranemu nie może być niższa niż suma wolna od zajęcia komorniczego przewidziana w polskim prawie. Znaczy 75 proc. płacy minimalnej, czyli przy 4806 zł – 3604,50 zł.

Tak więc Kościół, który przez stulecia zdołał opracować czyściec, ekskomunikę, suspensę i całkiem pokaźną kolekcję innych sposobów dyscyplinowania lokatorów tego łez padołu, odkrył teraz polską kwotę wolną od zajęcia.

Co wolno biskupowi, to nie...

Porównajmy to z zakładem pracy. Przedsiębiorca nie może któregoś ranka zebrać załogi i oznajmić, że od dziś za obrazę prezesa należy się 80 tys. zł, za nieposłuszeństwo dyrektorowi 40 tys., a za ujawnienie tajemnicy firmowej księgowa oddaje półroczną pensję. Kodeks pracy na takie objawienia reaguje mniej mistycznie.

Art. 108 pozwala pracodawcy stosować wobec pracownika upomnienie i naganę. Kara pieniężna jest dopuszczalna tylko za określone przewinienia, m.in. naruszenie przepisów BHP lub przeciwpożarowych, nieusprawiedliwione opuszczenie pracy oraz pojawienie się w niej pod wpływem alkoholu lub podobnie działającego środka.

Za jedno przewinienie pracodawca może więc zabrać najwyżej równowartość jednodniowego wynagrodzenia. Łącznie wszystkie kary pieniężne nie mogą przekroczyć jednej dziesiątej wynagrodzenia przypadającego pracownikowi do wypłaty, po odpowiednich potrąceniach.

Firma może oczywiście pracownika zwolnić. Może też dochodzić od niego odszkodowania. Państwo może karać przedsiębiorców i menedżerów na podstawie innych ustaw, czasami kwotami nieporównanie wyższymi. UOKiK w określonych sytuacjach może na przykład karać osoby zarządzające przedsiębiorstwem kwotami idącymi w miliony. To jednak robi organ państwa na podstawie ustawy, a nie prezes według regulaminu stworzonego przez zarząd przy kawie.

Kościół jest pod tym względem konstrukcją nader osobliwą. Biskup może dysponować wobec duchownego narzędziami, o których prezes spółki wobec etatowca może tylko pomarzyć. Tyle że trzeba jeszcze chcieć tych narzędzi używać.

Świeckość nieściągalna

Nowe kary mogą formalnie dotyczyć nie tylko księży. Mogą zostać wymierzone również świeckim podlegającym prawu kanonicznemu. Brzmi groźnie, dopóki ukarany świecki nie spyta: no dobrze, a co będzie, jak nie zapłacę?

A Kościół komornika nie ma. Nie dysponuje aparatem przymusowej egzekucji należności. Wyrok sądu kościelnego nie zmienia się automatycznie w tytuł wykonawczy, z którym można zapukać do świeckiego i zabrać mu telewizor, samochód albo 96 120 zł z rachunku bankowego. Dlatego skuteczność finansowej sankcji wobec świeckiego jest wybitnie iluzoryczna.

Jeszcze ciekawiej robi się, gdy świecki jest pracownikiem kościelnej instytucji. Prawo kanoniczne może sobie powiedzieć jedno, ale stosunek pracy podlega prawu państwowemu. Kodeks pracy nie posiada załącznika pod tytułem „wyjątek dla biskupa".

W efekcie przepisy reklamowane jako kary dla „duchownych oraz osób świeckich pełniących funkcje kościelne" są zabawne. Wobec księdza hierarchia może działać, bo kontroluje jego status i kościelne źródła utrzymania. Wobec świeckiego może się okazać, że szabla sprawiedliwości jest z tektury. A przecież episkopat nie reklamował dekretu hasłem: „Wprowadzamy karę, której od części ukaranych możemy nie mieć jak ściągnąć".

Czterdzieści jeden razy nic

Po wejściu dekretu w życie przeszukaliśmy publicznie dostępne informacje wszystkich 41 polskich diecezji i archidiecezji obrządku łacińskiego. Od Białegostoku przez Gniezno, Kraków, Łódź i Warszawę aż po Zieloną Górę. Szukaliśmy nie tylko słów „kara finansowa" i „grzywna", ale także „pozbawienie wynagrodzenia", „kara ekspiacyjna", „dekret karny", informacji o wpłatach na cele kościelne i komunikatów o zakończonych postępowaniach kanonicznych.

Rezultat jest spektakularny – zero publicznie ujawnionych przypadków zastosowania nowej grzywny.

Nie znaleźliśmy duchownego, o którym któraś diecezja podałaby po 1 marca: ten ksiądz popełnił przestępstwo kanoniczne, wymierzono mu na podstawie nowych przepisów tyle i tyle złotych grzywny.

Nie znaleźliśmy też publicznie ujawnionego przypadku duchownego, któremu po 1 marca na podstawie tego dekretu zabrano część albo całość kościelnego wynagrodzenia.

Tak samo w przypadku świeckich – nie znaleźliśmy ani jednego publicznie opisanego ekonoma diecezjalnego, pracownika kurii, zarządcy, katechety czy innej osoby pełniącej kościelną funkcję, której według nowych zasad kazano zapłacić choćby minimalne 2403 zł.

Oczywiście nie jest to dowód, że nigdzie żadnej kary nie wymierzono. Kościelne postępowanie karne nie jest rozprawą transmitowaną z sądu rejonowego, a biskup nie musi rozsyłać mediom tabelki z nazwiskiem, przewinieniem i numerem konta, na które wpłynęła grzywna. Można więc powiedzieć tylko tyle, ile wynika ze źródeł: do 1 września nie udało się znaleźć publicznie ujawnionego i możliwego do zweryfikowania przypadku zastosowania nowych kar finansowych. I to właśnie jest zabawne, bo kiedy przepisy powstawały, jawność episkopatowi nie przeszkadzała.

Dekret przypomina zatem alarm zamontowany w aucie stojącym bez silnika. Jest, lampka mruga, a gawiedź ma myśleć, że złoczyńca ma się czego bać. Bo najważniejszym adresatem dekretu wcale nie miał być ksiądz, ale wierny. I to nie jako ukarany, lecz jako widz. Mający wierzyć, że Kościół wziął się za karanie przewin we własnych szeregach.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Śledztwo w sprawie ks. Krystiana K. z diecezji sosnowieckiej, którego policja przyłapała na posiadaniu narkotyków, zbliża się ku końcowi. Do zatrzymania doszło po prowokacji ze strony dziennikarki Renaty Kim, której klecha zaproponował spotkanie w celu uprawiania chemseksu, czyli fikołków pod wpływem środków odurzających. Kapłan nie wiedział, z kim rozmawia, ponieważ dziennikarka w internecie podawała się za mężczyznę. Ostatecznie na księdza K. czekali funkcjonariusze policji, którzy znaleźli przy nim 1,5 g syntetycznych narkotyków. Jak przekazał prokurator Jakub Jagoda z Prokuratury Rejonowej Katowice Północ w Katowicach, ksiądz K. nie przyznał się do winy i „wskazał na brak świadomości, że posiadanie tej substancji jest nielegalne". Widocznie instrukcje przekazane przez dilera były niejasne. Jurnemu duchownemu grozi kara pozbawienia wolności do lat trzech.

✚ Prokuratura Okręgowa w Nowym Sączu skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko czterem osobom biorącym udział w nielegalnym obrocie lekami opioidowymi i psychotropowymi oraz praniu pieniędzy. Wśród oskarżonych jest 45-letni ksiądz z województwa mazowieckiego. Duchowny pełnił funkcję kapelana w szpitalu w Radomiu i miał być jednym z odbiorców nielegalnych substancji. Proceder trwał od 2021 r. W toku czynności funkcjonariusze Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości zabezpieczyli kilkadziesiąt tysięcy sztuk tabletek i plastrów, w tym oksykodon, morfinę, alpropazolam oraz fentanyl. Służby zajęły także należący do oskarżonych luksusowy samochód, biżuterię i gotówkę.

✚ Sąd Okręgowy w Kielcach zobowiązał diecezję kielecką oraz dwie parafie do wypłaty łącznie 550 tys. zł Iwonie Dudzik-Osińskiej, która jako 12-letnia dziewczynka została wykorzystana seksualnie przez księdza. Sprawa dotyczy wydarzeń sprzed czterech dekad. W 2007 r. prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa wobec klechy ze względu na upływ okresu przedawnienia karalności czynu. Obecnie sąd uznał, że roszczenia cywilne ofiary nie uległy przedawnieniu, co stało się podstawą do rozstrzygnięcia na korzyść Dudzik-Osińskiej. Kuria Diecezjalna w Kielcach odpowiedziała, że otrzymała nieprawomocny wyrok sądu i po uzyskaniu uzasadnienia podejmie dalsze decyzje w sprawie. Zgodnie z wyrokiem ksiądz pedofil ma sporządzić i podpisać oświadczenie, w którym przyznaje się do popełnionych czynów, przeprosić ofiarę oraz opublikować podobne przeprosiny w lokalnej prasie.

✚ Sześć osób doznało lekkich obrażeń w wypadku polskiego autokaru z pielgrzymami, do którego doszło w nocy 5 września w zachodniej części Węgier nieopodal granic ze Słowenią i Austrią. Jak wynika z ustaleń służb, polski autokar zderzył się z owcą. Kierowca zatrzymał pojazd i włączył światła awaryjne, nadjeżdżająca z tyłu węgierska ciężarówka nie zdążyła wyhamować i uderzyła w autokar. Kasowanie pielgrzymkowych owieczek staje się ostatnio trendem.

✚ Papież Leon XIV znalazł się wśród 70 najbardziej stylowych osób świata według pisma „Vanity Fair". Biskup Rzymu dzieli to wyróżnienie z gwiazdami kina i estrady, takimi jak Nicole Kidman czy Rihanna. „Vanity Fair" docenił jego „niebiański" styl, podkreślając, że Leon XIV potrafi połączyć tradycyjną białą sutannę z nowoczesnymi dodatkami, takimi jak kultowe sneakersy Nike, a zamiast klasycznych czerwonych papieskich pantofli wybiera proste czarne oxfordy. My wolimy stylówę zespołu Kiss.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl a6e25f4765

Poczet prezesów

Trzynasty szef PKOl po prostu musiał być feralny

Zawsze zdawało mi się, że jestem na wskroś racjonalny. Nie wierzę w żadne gusła, nie zawracam, gdy czarny kot przebiegnie mi drogę, nie odpukuję w niemalowane drewno. W Boga – nawiasem mówiąc – także nie wierzę, ani w duchy, ani we wróżki. Ale coś mi się zdaje, że w pechową trzynastkę zacznę wierzyć.

Nie będę w tym osamotniony. W krajach zachodnich ten przesąd jest silnie zakorzeniony. Do tego stopnia, że w niektórych hotelach brak jest pokoju nr 13 (113, 213 itd.), a linie lotnicze – i to całkiem poważne, takie jak Lufthansa lub Air France – nie sprzedają biletów na fotel nr 13. Niektóre ośrodki szkolące kierowców wycofują auto nr 13, aby nie wpędzać kandydatów starających się o prawo jazdy w dodatkowy stres.

Oczywiście pechowa trzynastka funkcjonuje w sporcie. Kto ogląda wyścigi kolarskie, musiał zauważyć, że zawodnik nr 13 często przypina do koszulki numer odwrotnie; jeśli można tak powiedzieć – do góry nogami. Ma to odpędzić od szosowca pecha, a w kolarstwie nieszczęść nie brakuje.

Lęk przed trzynastką doczekał się w psychiatrii swojego określenia. To triskaidekafobia. Oczywiście chodzi o chorobliwy lęk, a nie taki zwykły, jaki spotyka nas na każdym kroku, a kolarzom każe odwracać numer na koszulce. W przeciwnym wypadku należałoby zamknąć w psychiatryku grubo ponad połowę populacji Polski, Francji, Stanów i innych zachodnich krajów.

Od sanacji do Stalina

Cały ten przydługi wstęp spowodowany jest tym, że zamierzałem przedstawić poczet wszystkich prezesów Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Wiadomo, że w ostatnich tygodniach wiele się mówi i pisze o ostatnim prezesie – Radosławie Piesiewiczu; też się przyłączałem do tego chóru. I co się okazało? Radosław Piesiewicz jest właśnie trzynastym prezesem! I jak tu nie wierzyć w feralną trzynastkę? Poprzednich dwunastu prezesów zapisało się w historii polskiego sportu lepiej lub gorzej – częściej lepiej – ale żaden jeszcze nie został zamknięty w areszcie.

Pomysł stworzenia przeze mnie pocztu prezesów PKOl był karkołomny i z góry skazany na porażkę. Przecież czasów przedwojennych nie znam, mogę tylko sięgać do źródeł historycznych, a podczas urzędowania pierwszego powojennego prezesa Alfreda Lotha byłem już co prawda na świecie, ale gdy opuszczał stanowisko, miałem ledwie rok.

Choć większość aktywnego świadomego życia spędziłem w Polsce Ludowej, okres stalinowski szczęśliwie mnie ominął. Prezesa Lotha – nie. Musiał kluczyć między nakazami nowej, narzuconej ze wschodu władzy a ideałami olimpizmu. Tu trzeba zaznaczyć, że komunizm uważał ruch wymyślony przez francuskiego barona Pierre'a de Coubertina za nędzny przeżytek dekadenckiego, burżuazyjnego światopoglądu. Dopiero Józef Stalin – i to po II wojnie światowej – wpadł na pomysł, iż sukcesy sportowców ZSRR i krajów satelickich mogą stanowić doskonały oręż propagandy wykazującej wyższość komunizmu nad kapitalizmem.

Co ciekawe, na Zachodzie prędko podchwycono wyzwanie i w ten sposób na boiskach, stadionach i w halach sportowych rozpoczęła się swoista zimna wojna, która trwa do dziś.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Alfred Loth, działacz sportowy w okresie międzywojennym, miał oczywiście inne spojrzenie na rolę sportu, musiał więc – jak już napisałem – lawirować między tym, co obowiązkowe, a tym, co dobre. W każdym razie udało mu się stworzyć reprezentację Polski na igrzyska zimowe w 1948 r. w Sankt Moritz.

Proszę zwrócić uwagę, że ani Alfred Loth, ani jego następcy w socjalistycznej ojczyźnie – choć podobnie jak on musieli kluczyć między ideami olimpizmu a nakazami władzy – nie trafili za kratki, choć w tamtych czasach było o to nietrudno.

To się musiało przytrafić dopiero trzynastemu.

Za Gomółki i za Gierka

Następcę Alfreda Lotha pamiętam dobrze. Drobniutki mężczyzna, o sylwetce dalece odbiegającej od ideału sportowca znanej z rzeźby „Dyskobol" Myrona, polskim olimpizmem rządził przez 20 lat. Włodzimierz Reczek był typem prawdziwego działacza, który próbował łączyć sport masowy z wyczynowym. Zadanie miał tym łatwiejsze, że władze PRL zadecydowały, iż prezes PKOl będzie jednocześnie włodarzem całego polskiego sportu, czyli – mówiąc po naszemu – ministrem. Co ważne, Włodzimierza Reczka bardzo szanowano na arenie międzynarodowej.

W 1968 r. ekipa I sekretarza PZPR Władysława Gomółki rozpętała wstrętną nagonkę antysemicką. Zwalniano „syjonistów" ze stanowisk, zmuszano do emigracji, aż wstyd o tym wszystkim pisać. Włodzimierz Reczek, choć był – jak mówiono ze złośliwym przymrużeniem oka – „nasz", dla partyjnej ekipy okazał się nie do ruszenia. Był już członkiem MKOl, a tak daleko macki Gomółki i Mieczysława Moczara nie sięgały. Ówcześni nasi hunwejbini zgrzytali zębami, ale nic im to nie dawało. Musieli znosić obecność na czele polskiego olimpizmu niewysokiego działacza. Członkiem MKOl był Reczek przez 35 lat, zrezygnował w 1996 r., ale międzynarodowa rzesza działaczy i sportowców przyznała mu dożywotnie honorowe członkostwo. Zmarł w 2004 r.

Z następcą Włodzimierza Reczka – Bolesławem Kapitanem – kilka razy rozmawiałem jako dziennikarz. Były to miłe rozmowy, czasem z czysto służbowych zamieniały się w bardziej towarzyskie. Łączyła nas miłość do wschodniej kultury, przy czym prezes PKOl rozumiał ją chyba bardziej jako kulturę radziecką, a ja, absolwent filologii polskiej i słowiańskiej – rosyjską; choć oczywiście Izaaka Babla, Włodzimierza Majakowskiego czy Michaiła Bułhakowa także podziwiałem.

Po Bolesławie Kapitanie nastał Marian Renke. Były to lata 70. – czyli tzw. epoka gierkowska. To był dziwny czas. Właściwie już prawie wszyscy, poza nielicznymi dogmatykami, zdawali sobie sprawę, że eksperyment socjalistyczny się nie powiódł. W prywatnych rozmowach mówiliśmy o tym bez ogródek. Ale oficjalnie nikt się do tego nie przyznawał. Nadal udawaliśmy zaangażowanych w budowę socjalizmu. To było pełne zakłamanie, moje też.

Bojkoty

Igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 r., w proteście przeciw zajęciu przez ZSRR Afganistanu, zbojkotowały niektóre kraje zachodnie na czele z USA. Sprzeciwiałem się temu na łamach i tym razem nie kłamałem. Naprawdę tak uważałem.

W odwecie za decyzję Zachodu ZSRR postanowił nie wysyłać sportowców na igrzyska do Los Angeles w 1984 r. Kraje naszego obozu miały przyłączyć się do bojkotu. Dla władz PZPR była to wyjątkowo kłopotliwa decyzja. W Polsce właśnie zniesiono stan wojenny. Trzeba było pokazać światu, że wróciliśmy do normalności. Prezes Marian Renke stawał na głowie, żeby przekonać towarzyszy radzieckich. Nic z tego.

Pamiętam zebranie PKOl, podczas którego zapaść miała ostateczna decyzja. Prezes wyszedł do nas, dziennikarzy, i powiedział: „Nie jedziemy!".

Tylko dwoje z członków PKOl nie ugięło karku i głosowało za wysłaniem ekipy do Los Angeles: złoci medaliści olimpijscy Irena Szewińska i Gerard Pyciak-Peciak. Na nasze głosy może nie tyle oburzenia (choć byliśmy oburzeni), ile zasmucenia, Marian Renke odpowiedział szczerze: „A co ja, kurwa, mogłem zrobić?".

Spróbujcie znaleźć jakikolwiek mój tekst, w którym pochwalam decyzję PKOl o bojkocie igrzysk w Los Angeles. Nie znajdziecie go, choć wówczas pracowałem w dziale sportowym „Trybuny Ludu". Przynajmniej raz byłem uczciwy.

Prywatnie prezesa Renke nie znałem, dobrze za to znałem dwie jego piękne córki. Były to dziewczyny świetnie obracające się w towarzystwie, rozrywkowe na maksa. Jedna z nich – już nie pamiętam która – nosiła ksywkę Inczu-Czuna, na część postaci z westernowej powieści (i filmów) niemieckiego pisarza Karola Maya. Miałem nawet przyjemność gościć Inczu-Czunę na balandze urządzanej w domu moich rodziców, ale to już nie ma nic do rzeczy.

Z kolejnym prezesem byłem i jestem na ty. Aleksander Kwaśniewski był redaktorem naczelnym „Sztandaru Młodych", a ja pracowałem przez jakiś czas w dziale sportowym tej gazety. Olek ze wszystkimi dziennikarzami był na ty, taki miał fajny styl. Imponował mi znajomością sportu, dużo większą niż niejednego z nas, specjalistów, więc wcale się nie zdziwiłem, kiedy rzucono go (tak się wówczas mówiło) na odcinek sportu – czyli ministra sportu i szefa PKOl. Pracowałem później trochę jako wolontariusz podczas jego udanej kampanii w wyborach prezydenckich.

Spotkałem Olka przypadkowo nie tak dawno. Nie chciałem mu się narzucać, nie byłem pewien czy dawne ty jeszcze jest aktualne, ale to on zaczął: „Cześć, Wojtek"…

Zawsze miał doskonałą pamięć.

Czterech prezesów i Patek

Andrzeja Szalewicza – proszę wybaczyć – nie bardzo kojarzę. To był okres zmiany ustrojowej, każdy próbował się jakoś w niej odnaleźć. Ja zakładałem pierwsze nowoczesne kolorowe pismo „Sukces", a Szalewicz przeprowadzał sport przez trudny okres transformacji, zmianę sposobu finansowania wyczynu, poszukiwanie sponsorów itd.

Za to Stefana Paszczyka poznałem dobrze. Najpierw jako szefa wyszkolenia w Polskim Związku Lekkiej Atletyki, a z jego nazwiskiem wiązały się naprawdę wielkie sukcesy naszych sportowców; także meksykańskich, bo i tam przez dwa lata pracował. Stefan był człowiekiem tak skromnym, że – moim zdaniem – utrudniało mu to trochę jeszcze większą karierę. Zostałem kiedyś zaproszony do jego podwarszawskiego domu i poznałem jego uroczą żonę. Ona była jeszcze skromniejsza od Stefana. Prawie się nie odzywała, znosiła tylko z kuchni przeróżne smakołyki, a kiedy wkroczyły na stół wypieki produkcji pani domu, to było prawdziwe szaleństwo.

Stefan Paszczyk był człowiekiem niezwykle pracowitym, skrupulatnym i – w odróżnieniu od innych pracusiów – umiał zajmować się różnymi sprawami naraz. Pełnił godność posła na sejm, później ambasadora w krajach hiszpańskojęzycznych. Zmarł w 2008 r.

Co roku w podwarszawskim Konstancinie, w którym mieszkam, organizowany jest bieg masowy poświęcony pamięci następcy Stefana – Piotra Nurowskiego. Szkoda, że choroba pozbawiła mnie możliwości nie tylko biegania, ale już prawie chodzenia. Chętnie wystartowałbym w tym biegu, choćby symbolicznie i nie na całej trasie, dla uczczenia działacza, którego nie znałem osobiście, ale znało wielu moich przyjaciół i bardzo ceniło. Piotr Nurowski zginął w katastrofie pod Smoleńskiem.

O Andrzeju Kraśnickim i o tym, jak w bezczelny sposób pozbawiono go prezesostwa w PKOl, pisałem tydzień temu. O jego następcy, 13. prezesie PKOl dowiecie się więcej, włączając telewizor lub radio albo otwierając dowolną gazetę.

Jeśli ktoś zdecydował się przeczytać ten koślawy i dalece niepełny poczet prezesów PKOl – proszę, aby zwrócił uwagę, że żaden z poprzedników Radosława Piesiewicza nie dostał zegarka Patek Philippe jako łapówki.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 9.09.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl a6e25f4765

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Kraciastą chustką do nosa europoseł Grzegorz Braun przetarł zroszone potem, ale szczęśliwe czoło.

– Przed ciosem niechaj tyran drży! Ruszymy z posad bryłę świata. Dziś AfD, a jutro my – zacytował słowa pieśni.

– Czyś ty zwariował, wodzu?! – zawołał zdumiony poseł Włodzimierz Skalik. – Przecież to „Międzynarodówka”…

Skalik przyjął postawę zasadniczą i mocnym głosem jakże typowym dla konfederaty korony polskiej zaśpiewał: – Nad łąką roztacza słońce swój blask, a jeleń swobodnie po lesie gna, zbierzmy się razem, by powitać burzę. Jutro należy do nas! Jutro należy do nas!

Brauna ogarnęło tak wielkie wzruszenie, że tym razem kraciastą chustką musiał wytrzeć łzy.

– Kamraci – zaczął przemawiać natchnionym głosem. – Nasi niemieccy towarzysze z Saksonii-Anhaltu pokazali nam, jak zwyciężać. Pójdziemy ich tropem. Już za rok osiągniemy w wyborach ogromny historyczny sukces. Alternatywy dla Niemiec też nie doceniano, Alternatywę dla Niemiec też wyszydzano, Alternatywę dla Niemiec też chciano zdelegalizować. Nasi niemieccy towarzysze nie poddali się. Stanęli do walki. I zwyciężyli.

– Cześć i chwała bohaterom! – krzyknął poseł Roman Fritz.

– Cześć i chwała! – ryknęli pozostali konfederaci korony polskiej.

A potem pili piwo i śpiewali, kołysząc się przy dębowych stołach. Braun stał lekko z boku. Jednym okiem patrzył na gromadę najwierniejszych z wiernych. Cieszył się nimi. Był z nich dumny.

• • •

Adam Andruszkiewicz, zastępca szefa Kancelarii Prezydenta Rzeczpospolitej, nie umiał ukryć radości. Podskakiwał, śmiał się i wznosił ręce w górę.

– Nie ciesz się tak, bo jeszcze ktoś zobaczy – upomniał Andruszkiewicza Zbigniew Bogucki, szef kancelarii. – Oficjalnie niepokoimy się zwycięstwem AfD.

– Elon Musk może, prezydent Donald Trump może, to i ja mogę się cieszyć – odparł Andruszkiewicz i wyciął hołubca.

– Na radość jeszcze przyjdzie czas – ojcowskim tonem klarował Bogucki. – Na razie robimy zmartwione miny i kręcimy głową zatroskani oraz pełni niepokoju.

Andruszkiewicz spróbował się zmartwić, lecz nie bardzo mu się udało. Bogucki sięgnął po telefon komórkowy. Wybrał numer.

– Szczęść Boże – powiedział.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN była na pięćdziesięcioleciu ZSMP i na 35. Forum Ekonomicznym w Karpaczu, a **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** – jako młodsza – na piątym kongresie Regeneracja. Obie są zachwycone.

Wołk-Łaniewska: – To za chwilę. Na początek: co robiłaś, kiedy usłyszałaś o ataku na WTC?

Senyszyn: – A wiesz, że nie wiem? To było 11 września, a 23 były wybory do sejmu – pierwsze, w których startowałam i do tego z piątego miejsca. Więc pewnie kampanię, bo wtedy cały czas robiłam kampanię jak wściekła.

– Ja też, acz bez wściekłości, bo raczej pro forma. PPS, do której wtedy należałam, zarejestrowała listę, ale szans na przekroczenie progu mieliśmy zero, więc tak żeśmy sobie chodzili i gadali z ludźmi, jak ktoś przyszedł. 11 września miało być jakieś spotkanie Ikonowicza i pamiętam, że je odwoływałam. Kiedyś zadałam to pytanie przy wódce i było bardzo zabawnie, bo ja opowiedziałam o odwoływaniu spotkania wyborczego, Andrzej Golimont, który wtedy był dyrektorem Pałacu Kultury – o sztabie kryzysowym, moja ukochana przyjaciółka Kasia o jakiejś konferencji kolejowej z Zakopanem, którą przerwali, a nasz młodszy kolega rzecze: „Ja wtedy miałem plastykę na ostatniej lekcji”… À propos młodzieży: jak się ma ZSMP?

– Żyje i skupia wielu młodych aktywistów działających, jak my kiedyś, na rzecz dzieci i młodzieży. Impreza była fantastyczna, w ośrodku stowarzyszenia w Rudnie, zjechało kilkuset działaczy. Acz nie wszyscy, którzy chcieli, bo Czarzasty z Żukowską zrobili w tym czasie wyjazdowe posiedzenie klubu, żeby kilku posłów z przeszłością w ZSMP nie mogło do nas dołączyć.

– Co ty powiesz? A do nas Czarzasty przyjechał, ale zanim zdążyłam zjeść śniadanie, to już skończył przemawiać. Widać nie miał za dużo do powiedzenia…

– Co za niespodzianka… W Karpaczu było kilka tysięcy uczestników. Jako dyskutantka brałam udział w dwóch panelach: „Kobiety w nauce i polityce” oraz „Czy konstytucja wymaga zmiany”. W tym drugim zaproponowałam, aby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Nawrocki chciałby zmiany konstytucji, gdybym to ja została prezydentem, a on był nadal szefem IPN – czyli czy naprawdę chce dać więcej władzy urzędowi prezydenta, czy sobie.

– Trafne pytanie. Teraz ja opowiadam: Kongres Regeneracja, w pięknym stalinowskim Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, to wspaniała i podnosząca na duchu impreza. Piszę o niej rozwlekle w tym numerze, to sobie przeczytasz, jak będziesz chciała – i Czytelnicy też – a tu tylko powiem, że organizowany jest przez znakomitych, młodych i mądrych ludzi z Polskiej Sieci Ekonomii…

– Młodych i mądrych – to nie jest częste zestawienie w twoich ustach.

– Bo to się nieczęsto zdarza. Tam też czasem młodzież mnie zaskakiwała pewną – jak by to ująć – świeżością wiedzy. Nie wśród organizatorów oczywiście, ale uczestników. Np. na panelu o Kaleckim prof. Mączyńska powiedziała, że został potraktowany bardzo źle, że w 1968 r. odebrano mu katedrę i dwa lata później umarł w zapomnieniu. A w ramach pytań wstał jakiś młody człowiek – zapewne nie idiota, w końcu przyjechał na ten kongres i interesował się Kaleckim – i zapytał: „Z czego wynikło jego popadnięcie w niełaskę, a potem w niepamięć?”. Bo może tu było mówione, ale on jakoś nie dosłyszał i bardzo się dziwi, zwłaszcza że to nie było w latach 90., tylko 60… I pomyślałam sobie, że właściwie to dobrze, że młodzież tego dziś nie wie, bo 1968 r. to nie był najjaśniejszy punkt w historii mojej ukochanej Polski Ludowej.

– To prawda. A poza nagonką antysemicką miał jeszcze dewastujący wpływ na naukę, bo jak uczelnie pozbyły się rozlicznych wybitych naukowców żydowskiego pochodzenia lub niezależnego chowu, to zaczęła się era docentów z ustępu…

– Z kibla ich wyławiali?

– Nie aż tak dosłownie – z ustępu ustawy o szkolnictwie wyższym, który pozwalał zostać docentem bez habilitacji. Tak jak teraz można zostać profesorem uczelnianym bez belwederskiej profesury. Jak nie przymierzając Leszek Balcerowicz, Lech Kaczyński czy Krystyna Pawłowicz. To była zresztą przyczyna, dla której tak się zaparłam na profesurę belwederską, że zrobiłam ją w cztery lata po habilitacji. Profesura uczelniana za bardzo mi się kojarzyła z tymi właśnie marcowymi docentami.

– Dowcip o nich mi się przypomniał. Z kabaretu naszej ukochanej Olgi Lipińskiej. Siedzi dwóch docentów na werandzie. – Zabiłem osiem ćmów – mówi jeden. – Ciem – odpowiada drugi. – Kapciem. Zmieniając temat: Czytelnik nas opieprzył. Tak dokładnie to opieprzył mnie za ciebie…

– Jak rozumiem: moja wina?

– A żebyś wiedziała. Pan Krzysztof z Krakowa napisał otóż, że – cytuję – „słowa pana generała cyt: »idziemy po wodzie Zatoki Gdańskiej« biorą się z faktu, iż okręt wojenny »idzie po wodzie« – nie płynie jak stateczki puszczane na rzeczce z wnukami. To fachowa nomenklatura”. I zakończył surowo: „Zanim pani kogoś w artykule sponiewiera, warto wcześniej posiąść wiedzę”.

– Ty mi nawet mówiłaś, że statki chodzą.

– No właśnie. I nawet zdziwiłam się, że tego nie wiesz, jako bądź co bądź córka marynarza. W każdym razie to ty się nabijałaś z pana generała i jego chodzenia po wodzie, więc ci przekazuję opieprz.

– Jestem córką marynarza, ale handlowego, więc akurat mój tata pływał. Ale dobrze, że na mnie nie naszczekałaś jak niejaka posłanka Chorosińska. Byłam przez 12 lat posłanką i przez 5 europosłanką, więc myślałam, że nic mnie już nie zaskoczy w parlamentaryzmie…

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– A tu proszę: „Głos z sali: Hau, hau!” w stenogramie posiedzenia sejmu to coś, czego nie widujemy codziennie.

– Nawet przypuszczam, skąd jej się to wzięło. Otóż w 2008 r. umiłowany przez wielu bp Pieronek odpowiedział na moje twierdzenie, że Kościół doi państwo: „Nie wiedziałem, że pani Senyszyn zna się na krowach. Ale cóż, skoro tak, to niech się nimi zajmie”. I dodał, że jak ktoś ma inne zdanie, to może sobie poszczekać. Więc Chorosińska miała kościelnego nauczyciela.

– Bardzo mnie też rozbawiło jej tłumaczenie: że „jedyny język, jaki rozumieją Donald Tusk i Władysław Kosiniak-Kamysz, to szczekanie psów z Kłodzka”. Bo w Kłodzku działaczka PO została skazana w sprawie zoofilii.

– Przecież to nielogiczne: gdyby Tusk rozumiał język psa z Kłodzka, to by się wcześniej dowiedział, co ona wyprawia, i ją wyrzucił z PO, żeby uniknąć skandalu.

– Czy mogę skorzystać z okazji i opowiedzieć ci o posłance Chorosińskiej?

– Jeśli musisz…

– Muszę, bo to nieopisanie śmieszne. Otóż zanim p. Chorosińska została posłanką PiS, była gwiazdą serialu „M jak miłość” oraz żoną aktora Chorosińskiego, takiej samej gwiazdy jak ona. Zrobili sobie trójkę dzieci, a potem Dominika poszła w długą i zrobiła sobie czwarte z kimś, kto bynajmniej nie był jej mężem, opowiadając po mediach, jak to wszystko wina Chorosińskiego, bo „czuła się lekceważona jako kobieta”. Po czym wróciła do męża, który w ramach wdzięczności przeleciał nieznajomą w dyskotece, bo – jak wyjaśnił w rozmowie z „Faktem” – „tak bywa, kiedy człowiek się napije”. A potem zostali twarzami kampanii „Wierność jest sexy”.

– A jeszcze później ona została dwutygodniową ministrą kultury w trzecim rządzie Morawieckiego.

– No ale to nie za powrót do męża, tylko za wybitną rolę w filmie Krauzego „Smoleńsk”, gdzie zagrała wdowę smoleńską.

– Raczej za rolę w wybitnym filmie. W rankingu IMDb, w którym internauci wybierają 250 najdenniejszych filmów w historii kinematografii, rzeczony „Smoleńsk” zajął pierwsze miejsce, pokonując takie produkcje jak „Ludzka stonoga III”, „Małolaty ninja w lunaparku”, „Geniusze w pieluchach”…

– Zwłaszcza ten ostatni chciałabym zobaczyć…

– Nawiasem mówiąc „hau, hau” Chorosińskiej też ma konotacje smoleńskie. Jeden wybitny uczony z komisji Macierewicza…

– Tej, która przepuściła 82,5 mln złotych na badanie pękających parówek?

– Tej właśnie. Otóż ów członek, profesor, dla odmiany z amerykańskiego ustępu, Chris Cieszewski, uznał, że dowodem na zamach jest brak na rejestratorze dźwiękowego zapisu zderzenia z brzozą, który przedstawił – jak w „Rejsie” – paszczą. Ponieważ – dowodził prof. Chris – brzoza w zetknięciu ze skrzydłem samolotu robi: „Piijiii, bziuuu!”, a smoleńska nie zrobiła.

– Bo to ruska brzoza była. Hybrydowa.

– Niewykluczone.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl a6e25f4765